Nr. 43. Warszawa, dnia 25 (13) Października 1890 r. **Rok X.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

STARA BAŚŃ.

Kiedy przed ćwierćwiekiem przeszło metternichowsko-bachowska Austrya poczęła zapychać olbrzymie niedobory budżetowe konstytucyjnemi opiłkami, statut wyborczy dla sejmu galicyjskiego zaopatrzono w znamiona niesprawiedliwości społecznej, większej, aniżeli w innych prowincyach. Kuryi szlacheckiej bowiem, urzędownie zwanej wielką własnością ziemską, zapewniono górujący wpływ na ustawodawstwo, wpływ, który mógł udaremniać i udaremnia istotnie wszelkie słuszne żądania spowitych w pieluchy miast, oraz okręgów wiejskich. Kilka przykładów podkreśli dobitnie zasadniczą dążność owego statutu. I tak np. kilkudziesięciu obywateli z krakowskiego okręgu większej własności okrzykuje pięciu posłów, podczas gdy Kraków, liczący 80,000 mieszkańców, który i umysłowo i pieniężnie przewyższają tamtych, rozporządza zaledwie trzema, Lwów zaś o ludności 120,000-ej tylko czterema mandatami. Takie spore miasta, jak Stanisławów, Przemyśl, Tarnów, Tarnopol otrzymały po jednym przedstawicielu, okoliczna natomiast szlachta ma po czterech lub pięciu obrońców swych przywilejów, tudzież uroszczeń. Nie na tem atoli koniec! Jest tam sporo miast, po kilkanaście tysięcy ludności liczących, wzrastających z każdym rokiem, posiadających sądy okręgowe drugiej instancyi i gimnazya, a mimo to wtłoczone przez autorów statutu w okręgi wiejskie; rzecz prosta, że ludność wiejska, jako liczniejsza, przeprowadza swego kandydata, którym jest zwykle szlachcic, zręcznie podsunięty nieoświeconym wyborcom przez feudalnych agitatorów. To też sala sejmowa przemienia się podczas obrad niejako w duży salon, gdzie rozprawiają ze sobą szlachcice-krewniacy, zukosa jeno spoglądając ku natrętnym intruzom, tj. ku małej garści posłów miejskich i rusińskich.

Podobne stosunki panowały w Anglii... przed 60 laty. Wówczas to połowę Izby niższej, z 658 członków złożonej, naznaczało niecałe 15,000 ludzi. Magnaci wybierali bezpośrednio 97 posłów, pośrednio zaś 70, wogóle wybór 306 posłów zależał od 160 osób. Książę Norfolk rozporządzał 11 mandatami, lord Londsdale dziewięciu. Hrabstwo York, najludniejsze z całej Anglii, musiało podczas wyborów tańczyć na nutę, poddaną mu przez lorda Rockinghama; jakie zaś skutki pociągało za sobą nieposłuszeństwo, o tem uczył współczesnych los 527 dzierżawców księcia Newcastle, wypędzonych za to, że śmieli głosować przeciw książęcemu kandydatowi. Wielkie miasta przemysłowe nie miały w parlamencie swych mandataryuszów; t. zw. „zgniłe miasteczka“ (rotten boroughs) wybierały po 1 lub 2 posłów. Dwa z nich liczyły tylko po 2 domy; 46 nie miało nawet po 50 wyborców, 19 nawet po 100, a drugie 46 zaledwie dosięgało cyfry 200. Ubożsi właściciele takich „zgniłych miasteczek“ sprzedawali owe mandaty po cenie 10,000 funtów za sztukę. „Trzydzieści i jedna rodzin magnackich, w ziemię zasobnych—pisze Sanford w *Dziejach rozwoju konstytucyi angielskiej* — ważyło na szali życia politycznego tyle, co Londyn i dwa razy tyle, co cała Szkocya.“

Bez przesady można twierdzić, iż również i o losach Galicyi rozstrzyga dzisiaj kilkudziesięciu magnatów i kilkuset obywateli ziemskich. Hojnie uposażeni sami znaczną ilością mandatów, zdołali oni nadto przywłaszczyć sobie tajną, demoralizującą agitacyą mandaty włościańskie. Na zewnątrz usprawiedliwiają to samolubne, kastowe postępowanie sofizmatami o dziejowem powołaniu szlachty. Cała praca ustawodawcza takich szlacheckich sejmów biegła zawsze ciasnem korytkiem chciwej wyłączności. Każda ustawa służyła jedynie albo za równię pochyłą do staczania ciężarów podatkowych na barki plebejów albo też za powijaki, krępujące wzrost miast, owych rzekomych ognisk bezbożnej demokracyi, oraz czerwonego radykalizmu.

Przyrodnik, obeznany z historyą dawnej rzeczpospolitej, będzie uważał owe objawy jednostronnego życia politycznego za nowe potwierdzenie dziedziczności psychologicznej. Wady przodków ożyły w potomkach; stara baśń odrzuciła płytę grobową i po trzech wiekach znowu wychyla z czeluści swą nagą czaszkę. Przeglądając roczniki sejmu galicyjskiego, ustawicznie przychodzą każdemu na myśl poglądy Pawińskiego, stwierdzone dokumentami w *Dziejach ziemi kujawskiej*: „Dbałość o interes stanu wyraża się atoli nietylko w dążeniu do tego, aby utrzymać w szacunku klejnot szlachecki, aby nie dopuszczać do niego niepowołanych, aby się szczelnie zamknąć i zasklepić, ale owszem w ciągłem staraniu się o to, aby klejnot nie podlał, lecz się wznosił, wzbogacał i coraz hojniej obdarzał dobrodziejstwami tych, co byli w posiadaniu przywileju i prerogatywy.“ Zapewniała sobie szlachta wszędzie pierwszeństwo „z tytułu praw dziedzicznych i urodzenia bez względu na pożytek ogólny.“ Instrukcya sejmiku w Radziejowie w 1670 r. żąda, „aby szlachtą dobrą byli — żup arendarze, pisarze na komorach celnych i rolnych, pisarze i faktorzy, pisarze wszelacy skarbowi, tak do kwarty odbierania, jako i do innych prowentów publicznych wysadzeni...“ A dla większej skuteczności prawa w tym względzie obowiązującego domaga się kary gardła, oraz konfiskaty majątku „każdego nieszlachcica, każdego plebeja, któryby się ważył trzymać takie urzędy lub się o nie starał.“ Nawet na dzierżawę dóbr królewskich, duchownych i prywatnych nie chciano nieszlachcie pozwolić. Dlaczego? Oto z powodu, że „szlachta ma nad wszystkie podlejsze stany w wolnej rzeczpospolitej naturalny z urodzenia swego przywilej, że korzystać może z tych wszystkich dóbr jestestwa, rozporządzenia wolności, swobody“, albowiem „krwią, pracą, radą i staraniem antecessorów są stanowione.“ Więc w ubieganiu się o dzierżawy zarówno królewskie, jak ziemskie i duchowne powinna mieć pierwszeństwo. Ale pierwszeństwa dobić się nie może przed ludźmi „podlejszego urodzenia,“ który żyjąc skromnie, mogą wyższe ofiarować ceny dzierżawne. Szlachta siedząc po miastach komorami, szczupłe swoje substancye na bruku zjada, traci wszelką sposobność dorobku substancyi i młodzi szlacheckiej edukować nie może... przeto zabronić należy bezwarunkowo oddawania w arendę jakichkolwiek dóbr ziemskich wszelkim ludziom „podlejszego urodzenia,“ mieszczanom, sołtysom, chłopom, wreszcie i „tej cuchnącej brudnej zgrai — żydom.“ Czego nie dokonały takie prawa wyjątkowe, zgodne wreszcie nastrojem duchowym z ówczesnemi zapatrywaniami Zachodu, to osiągnął wysoce niesprawiedliwy rozkład podatków uskuteczniany na sejmikach. Czopowe, szelężne wel beczkowe, młynne, akcyza, myto od rzezi, pogłówne nieszlacheckie ucískały stan średni, podczas gdy na pogłówne ogólne szlachta narzekała, zowiąc je nieznośnem jarzmem, włożonem na karki.“ „Niechronnem następstwem takiego syste-

mu rabunkowego — zaznacza Pawiński — było zbiednienie ludności miejskiej, szczególnie zaś zrujnowanie wszelkich rzemiosł i wszelkiego przemysłu miejskiego.“ I Bobrzyński raz po razu piętnuje chciwość szlachty w stosunku do miast, umyślne ich rujnowanie wszelkiemi administracyjno-ekonomicznemi uchwałami. Skutki takiego pasorzytnictwa wiadome!

Lecz dzisiejsi rodowcy galicyjscy nie umieją korzystać z nauki przeszłości. Jak z ziaren pszenicy, przechowanych w grobowcach egipskich, wyhodowano po tysiącach lat bujne kłosy, tak tutaj znowu setki burz nie zdołały wytargać z piersi szlacheckich korzeni chciwości bezmiernej. Trzeba przecież spodziewać się, iż czas i zabiegi mieszczaństwa zwolna przełamią ów upór. Od pierwszej chwili bowiem życia parlamentarnego w Galicyi miasta dążą do reformy ordynacyi wyborczej. Długo szlachta pozostawała głuchą na te nawoływania. Lecz zeszłoroczne wybory sejmowe, wiec miejski, późniejsze ataki lewicy sejmowej, dobra organizacya stronnictwa postępowego, nadewszystko zaś coraz silniejsze poczucie niemocy własnej skłania obecnie szlachtę do częściowej kapitulacyi. Jej przedstawiciel, Wydział Krajowy w dzisiejszym swym składzie zgodził się na żądanie lewicy, by Kraków i Lwów wybierały po jednym pośle więcej, rektor Politechniki lwowskiej uzyskał na równi z rektorami obu wszechnic głos wirylny; na wyłączenie jednak siedmiu większych miast z okręgów wiejskich i przyznanie im po jednym pośle nie przystał.

Ta zmiana — to tylko początek reformy, która koniecznie musi nastąpić, jeżeli Galicya chce wejść na drogę prawidłowego rozwoju. Mieszczaństwo, które na Zachodzie już zbliżyło się do początku końca swej roli, w Galicyi ma do spełnienia sporo jeszcze zadań; stanowi ono i na długie dziesiątki lat będzie stanowiło ważny czynnik życia społecznego, równoważnik kastowości szlacheckiej i jej nieumiejętnej gospodarki. Nie praw wyjątkowych mu zatem potrzeba, jeno opieki troskliwej.

Adam Nowicki.

LISTY GALICYJSKIE.

Lwów, 18 października.

Otwarcie sejmu. — Nowy marszałek. — Straż pożarna. — Wydział krajowy i jego przesilenie.

Po nabożeństwach, odprawionych „ku wezwaniu Ducha świętego,“ zebrali się w południe dnia 14 października w wielkiej sali sejmowej nasi „ojcowie ojczyzny.“ Wśród dźwięków „disharmonii,“ przygrywającej przed gmachem, zapełniała się sala samymi niemal kontuszowcami, którzy składają się, jak scyzoryki, przed floletami i przedstawicielami rządu. Nieśmiało weszli posłowie włościańscy w siermięgach, zająwszy ostatnie ławki... Skład i cała fizyognomia sejmu nie zmieniła się prawie. Ta sama, szczupła, z kilku posłów złożona lewica, ta sama prawica, tworząca ze środkiem nieokreśloną „unię.“ Zmieniło się chyba tyle, że na krześle marszałkowskiem zasiadł nie hrabia, ale książę, aby tem właśnie — jak powiadają naiwnie — „imponował c. k. namiestnikowi.“ Miejsce prof. M. Bobrzyńskiego zajął radca dworu wice-prezydent Rady szkolnej M. Bobrzyński... na co namiestnik w przemówieniu, przedstawiającem wysokiej Izbie nowego marszałka, szczególniejszy położył nacisk, dodając, że „Izba sejmowa wyraziła zapatrywanie, iż pragnie mieć p. Bobrzyńskiego wice-prezydentem.“ Jakkolwiek nie dochodzą wszystkie głosy Wysokiej Izby i jeszcze wyższego rządu loży dziennikarskiej, którą umieszczono gdzieś na szarym końcu, może dlatego, ażebyśmy nie wszystko dokładnie słyszeli... stanowczo jednak twierdzimy, że *zapatrywania takiego Izba nie wypowiedziała nigdy*, poprostu dlatego, że podczas uchwalenia ustawy o wice-prezydentostwie nikt nie mógł odgadnąć, że nim będzie prof. Bobrzyński. Jeszcze gorsze wrażenie zrobiła bezbarwna, czcza mowa księcia-marszałka. W pierwszych jego słowach, rzuconych tym, którzy do pnia samorządu naszego przykładają siekierę, oświadczył wprawdzie, że chce być stróżem samorządu, praw politycznych i narodowych Galicyi, orędownikiem interesów kraju wobec rządu, czy wszakże czyny odpowiedzą tym szumnym obietnicom? Polityczy widzą w dalszej części jego mowy, w której wyraził wprost, że „zrobić ofiary ze swych przekonań nie chce ani nie potrafi,“ znak ponownego przesilenia marszałkowskiego; dla nas jest ta samodzielność księcia-pana *jedynym* dodatnim momentem. Po za tem utonęło zagajenie całe w idealnej „harmonii kraju z rządem,“ w pochwałach ekscelencyi c. k. namiestnika i świetności parlamentarnej kroniki sejmowej itp. W końcu zaznaczył marszałek szczerze, iż nie zgadza się z pojęciami polityki bronionej przez naszą mieszczańską lewicę. Polityka ta nie zdoła, zdaniem jego, podnieść kraju ekonomicznie. Są to niejako ziarna, rzucone na grunt w nadziei, że stokrotny plon przyniosą, lecz plonu tego wtedy tylko spodziewać się można, jeżeli ziarno padnie w glebę należycie przygotowaną. Do materyalnego podniesienia kraju potrzebny jest kapitał o wiele większy, niż ten, którego fundusz krajowy nawet przy największem wysileniu mógłby na te cele dostarczyć; tym kapitałem jest praca i inteligencya mieszkańców.

Zaledwie posłowie nasi przekroczyli progi gmachu sejmowego, a już z podwawelskiego grodu dochodzi ich odgłos „straży pożarnej,“ dmącej na alarm przeciw niebezpiecznym rzekomo żywiołom, podnoszącym w „pokątnych“ robotach „hasło polityki ludowej, czyli rozdziału kast, podkopania ufności włościan do warstw wykształconych“ itp. Na dowód tego przytacza organ „naszych nieprzejednanych“ przestraszający fakt: „wybór jeszcze jednego chłopa do sejmu.“ Żąda tedy *Czas* (bo i któż inny, jak nie on potrafiłby tak dobrze stare wycinać kuranty), aby Izba poselska w imię harmonii i ładu społecznego, zgromiła przedewszystkiem tych wybrańców ludu, co się herbem nie pieczętują i ręce zbyt mają do pracy zgrubiałe, za to, że odważyli się zasiąść na ławie poselskiej... to samo stać się powinno z tymi, co śmieli sięgnąć po godność reprezentantów w chwili, gdy tąż samą żądzą pałało „uprawnione“ do tego serce jednego z koteryi rządzącej. Komisya sprawdzająca rzeczywiście zawiniła tutaj srodze, gdy zamiast *antenatów* posła, liczyła *głosy* wyborców, przeceń zdobyte i temu mamy do zawdzięczenia, że w sejmie tak „niedobrane“ zasiadło towarzystwo.

Wszystkie dzienniki galicyjskie zgadzają się w tem, że kres przesilenia marszałkow-

---

SYLWETKI HISTORYCZNE Z XVII W.

KRYSTYNA JEZIORKOWSKA[1])

Po pięćkroć śluby ponawiała małżeńskie. Przodkowie jej należeli do rzędu drobnej szlachty, osiadłej na gruntach starostwa kamienieckiego; jeszcze w połowie XVI w. władali częścią Wróblowiec — na innych dwóch częściach, sporej skądinąd wioski, siedzieli Zieleniecki i Witalczowski[2]); toż i w Paniowcach Zienieckich, które dziedziczyli, spotykamy te same trzy rody[3]), a w 1578 r. przybywa im czwarty kompan w osobie Dobromirskiego[4]); dopiero połączenie się z Smiotankami popchnęło Jeziorkowskich na szerszy gościniec kresowy; właśnie tym szczęśliwym był p. Walenty h. Rawicz, miecznik podolski, ożeniony z Anną Smiotankową, chorążanką podolską; małżeństwo spokrewniło go z Potockimi, już wówczas używającymi rozgłosu, Strusami, Kalinowskimi, Chocimierskimi, Łaszczami Tuczapskimi, a obok pokrewieństwa dawało i wcale niezłą fortunę, którą przy szczęściu łatwo było powiększyć. Pan miecznik miał dwie żony — z owej wyżej wspomnianej dwie córki zostały, z drugiej, także Anny Zaleskiej h. Topor— jedną; męskiego potomka nie zostawił, na nim też ród wygasał. Otóż właśnie najstarszą córką, z Smietankowej zrodzoną, była Krystyna, średnią Helena za Krzysztofa Dzierżka zmówiona, najmłodsza Marya, po dwakroć powtarzała śluby — *primo voto* Silnicka, żona Piotra wojskiego Kamienieckiego, *sec. voto* Adamowa Matczyńska — dzieci nie miała wcale.

Uporaliśmy się z genealogią, a potrzebna nam była dla bliższego poznania gniazda, z którego pochodziła kobieta, występująca w tem opowiadaniu. Krystyna przyszła na świat w 1620 r. najpóźniej, rodzice jej mieszkali w Paniowcach Zienieckich, położonych na prawym brzegu Zbrucza, oddalonych o lekkie trzy milki od Kamieńca. Kiedy poślubiła Pawła Świrskiego h. Szaława, miecznika także podolskiego, rotmistrza J. kr. mości, tego nie wiemy; dość że kilka lat z nim spędziła w małżeńskim stanie, że dzieci nie miała, jak i z następnymi mężami, że temu pierwszemu dozgonnemu towarzyszowi uczyniła pewien zapis, że wreszcie straciła go na polu walki, pod Zborowem w 1649 r.[1]).

O dwóch następnych małżonkach jeszcze mniej posiadamy szczegółów. Drugim był Kondracki, rotmistrz z 1653 r., trzecim Cwilichowski[1]). Czy mężowie jej tak się nazywali, czy inaczej, mniejsza o to, dość że po zgonie Krystyny, kiedy szło o sukcesyę po niej, w aktach urzędowych występuje jako *ultimo Dziewanowska, post fata priorum quatuor maritarum*[2]). Pożycie z drugim i trzecim mężem chyba wypełniło lat dziesięć, bo już w 1660 r. występuje jako małżonka ślubna Jerzego Wołodyjowskiego, stolnika przemyskiego. Matkę straciła w dzieciństwie, macocha także ją odumarła dawno, ojciec przeniósł się do wieczności w 1662 r., a kiedy przyszło do działu między siostrami, nie obeszło się bez sporu, stąd potrzeba sądu polubownego, więc udały się strony do przyjaciół i oto w Kamieńcu na d. 23 maja 1663 r., stanął dekret podziałowy, usankcyonowany przez uproszonych *ad hoc* Mikołaja Potockiego, generała podolskiego, Franciszka Kazimierza Rzewuskiego, stolnika ziemi Łukowskiej, podstarościego grodzkiego kamienieckiego i Michała Chodyjowskiego, pokrewnego męża pani Krystyny. Dział ten dotyczył tylko majętności w ziemi, znajdujących się w województwie podolskiem, choć rozrzuconych po całym jego górnym obszarze. Stanęło więc na tem: Malejowce — w okolicy Jarmoliniec — dostała Matczyńska, tj. najmłodsza Jeziorkowska, Filipowce (dziś nie egzystujące) i trzecią część Zie-

---

[1]) Ideał Jerzego Wołodyjowskiego. Szkic ten przedstawia bohaterkę powieści Sienkiewicza w świetle historycznem. *Red.*

[2]) *Źródł. dziej.* XIX, 195, 228, 302.

[3]) Tamże, 197.

[4]) Tamże, 284.

[1]) *Panow. Władysława IV i Jana Kaźm.* itd. II, 91. Papiery rodowe Świrskich.

[1]) *Niesiecki*, IV, 494.

[2]) Wyciąg z akt Lubelskich 1680 r. Archiwum p. Wacława Raciborowskiego pod Kamieńcem.

skiego nie usunął przesilenia wydziałowego, ale jeszcze więcej je zaostrzył. Zachodzi tylko różnica w podawaniu lekarstwa na tę chorobę. Najradykalniejszym okazał się tu — o dziwo! *Czas*, gardłujący za zniesieniem Wydziału Krajowego! Braciszek jego *Przegląd lwowski* wystąpił z projektem, utworzenia nowych dygnitarzów-dyrektorów do kierowania pracą, a puszczenia starych radców na trawę — *Gazeta narodowa* spodziewa się naprawy wtedy, jeśli w Wydziale utworzy się jeszcze jeden departament dla kultury krajowej. Mocno interesowana *Nowa Reforma*, której współredaktor jest radcą Wydziału, domaga się gorąco oddzielenia laski marszałkowskiej przewodniczącego sejmowi od pióra naczelnika Wydziału. Onegdaj rozeszła się nawet wieść po mieście, że dla ułatwienia kierownictwa nowemu marszałkowi złożą wszyscy członkowie Wydziału swe mandaty. Obiegają też różne wieści o zamierzonych atakach na Wydział Krajowy. Jedni twierdzą, że ma być dlań zaraz z początkiem sesyi sejmowej postawione wotum nieufności, inni, że wybuch nastąpi dopiero przy rozprawie budżetowej i że atak ma się zwrócić osobiście przeciw trzem członkom. Głoszą także, że w Krakowie odbyć się miała narada „wybitnych“ z prawicy, na której odrzucono projekt „reformy,“ ogłoszony w organie Länderbanku, a zgodzono się na to jedno tylko, żeby liczbę członków Wydziału powiększyć jeszcze o jednego,tak że on składałby się z 7 członków—z tych 3 wybranych przez Kurye, a 4 przez cały sejm. Cel widoczny: przy wyborach z całego sejmu konserwatyści bardziej liczą na większość, a więc tą drogą starają się wzmocnić w Wydziale liczbę swoich. Zresztą pomnożenie zastępu wysokich urzędników uważamy za całkiem zbyteczne. Dotychczasowe posady wystarczą, byle tylko należytemi siłami były obsadzone, a nie ludźmi, którzy większą część roku przebywają na urlopie, albo próżnują.

Przesilenie to i agonia funduszu krajowego zagrażające bankructwem Galicyi, są tak groźnymi atakami dla przyszłości kraju, że przyznać trzeba, iż w tej chwili nie mamy naglejszej sprawy. Najważniejszem więc zadaniem sejmu będzie wyratować kraj z tak fatalnego a upokarzającego położenia.

Przyczyny przesilenia w Wydziale, pomijając czynniki natury osobistej, wikłające sprawę, tkwią oddawna utajone w samej organizacyi tego ciała. Stanowo-kuryalny wybór do Wydziału, „za słabo równoważony wyborem z całego sejmu,“ przeszkadza zarysowaniu się jednej politycznej myśli, czego właśnie potrzeba autonomii, i przeszkadza przy wyborze członków odpowiedniemu zastosowaniu fachowych zdolności, jak nie mniej wytworzeniu się następnie w radzie zespolonej dążności. Zakres zadań Wydziału powstawał i rozczłonkowywał się z biegiem czasu na kategorye rozlicznych „agend,“ które niezdobywane, lecz przez rząd narzucone, gromadziły się jak warstwy piasku na autonomicznej skale i wytworzyły w stosunku do nikłości wyników pracy ogromną machinę, równie chaotyczną, jak budżet krajowy, olbrzymi... deficytem. Organizm najwyższego zarządu autonomicznego, podobnie jak całość budżetowa istotnych potrzeb krajowych, stają się nawet dla wprawnego oka tak trudnemi do objęcia, jak gdyby chciano umyślnie, aby ogół z zadań krajowych nie widział nic jasno, prócz — ciężarów. Organizacya departamentów równej sobie nie znajdzie na całym świecie. W departamencie pierwszym np. łączą się, ale nie wyczerpują, sprawy zarządu powiatów i gmin z melioracyjnemi, z częścią spraw osobistych — że już nie wspomniemy o innych mniejszych agendach, jak kultura torfów itp. I niechże kto powie, czem jest ten departament i jakim uniwersalnym geniuszem, zdolnym na raz myśleć w rozlicznych kierunkach, musi być ten, kto tu zdoła dzielnie kierować!

Najgorzej działoby się z departamentem trzecim — gdyby nie było szóstego, który powinienby być z pozoru wszystkiem, a powiadają, że jest zupełnie niczem... W tym trzecim jednoczą się sprawy sejmowe i osobowe, sprawy oświaty bez odpowiedzialności za nią, stowarzyszenia i taksy spadkowe, a przytem fundacye rozmaite i teatr w połączeniu z archiwami!.. Departament piąty obejmuje szpitale i sprawy hygieny, lecz policya zdrowia, która jest otwartą raną społeczeństwa, do niego już nie należy. *Odpowiednio* do takiej organizacyi, *nie odpowiadają* rubryki budżetu krajowego departamentom zarządu, a za całość bużetu i jego poszczególnych rubryk nikt — jak się to już w komisyi okazało — nie ręczy! Oto jest treść i forma najwyższego zarządu Galicyi... W tych warunkach istotnie niepodobna na seryo mówić, ani o naprawie rządu, ani o zakończeniu przesilenia wydziałowego.

Jak każda reakcya znaczy i Wydział krajowy panowanie swe podcinaniem korzeni młodych latorośli — w przekonaniu, że tłumiąc gorętsze dążenia, usuwa z drogi, na której toczą się jej koła, najwalniejsze przeszkody. Z gnębieniem młodzieży samodzielniejszej idzie w parze protegowanie wszelakiej „prawomyślności,“ pociąganie lokajskich przymiotów karyerowiczów pod hasła najszlachetniejsze, mydlenie wreszcie oczu dających się na pasku wodzić owieczek galicyjskich tem, że „niesforność“ pewych odłamów młodzieży staje w niezgodzie z ideałami społeczeństwa, że sprzeciwia się najżywotniejszym jego interesom itd. Mała tylko garstka doświadczonych, umie sobie wytłomaczyć, że rządy naszej reakcyi mają na celu nie dobro powszechne, ale wyniesienie kilku swoich sług na miejsca intratne, na których można wypchać i swoją i swoich sojuszników kieszeń i podług stałej recepty przerobić poddanych obywateli na wygodne podnóżki.

Beta.

PRZED I PO I-ym PAŹDZIERNIKA.

V.

Warto zatrzymać się jeszcze nad przyczynami wskazanego powyżej a zaiste olbrzymiego wzrostu społecznej demokracyi w okresie ustawy wyjątkowej. Rzecz naturalna, że główne źródło rozwielmożnienia się prądów społeczno - demokratycznych tkwi w samem ukształtowaniu społeczeństwa kapitalistycznego, doprowadzającego antagonizmy klasowe do ostrej przeciwstawności, dręczącego tłumy pracujące ciągłą niepewnością jutrzejszego zarobku, a nadto gromadzącego je w ludnych ogniskach handlowo - przemysłowych z żywą wymianą myśli. Jest to gotowe zarzewie, oczekujące tylko podmuchu. Wprawdzie przy pewnych warunkach może ono utracać swoje właściwości zapalne. Tak było w Anglii, w latach

---

leniec — Dzierżkowa, Paniowce zaś Zielenieckie i dwie trzecie Zieleniec — p. Krystyna Wołodyjowska. Dodamy nawiasem, że Zieleńce liczyły się do rzędu osad wielkich, miały bowiem podówczas 102 dymów. Ale jeżeli kobieta czwartemu mężowi, oprócz czterdziestoletniego doświadczenia, wniosła sporą fortunę, to i ten mąż czwarty zasobny był w grosz także; oprócz Nowosiółki Kostiukowskiej, prawie w całości będącej w jego posiadaniu, domów w Kamieńcu, były jeszcze i dzierżawy spore — jak choćby Sokół nad Dniestrem położony [1]), a poważne dający dochody; jeżeli do tego dodamy zapobiegliwość, oszczędność, to się czytelnik dziwić nie będzie, kiedy powiemy, że w lat kilka p. stolnik nabył na własne imię dwa takie duże majątki, jak dobra Puchalskiego (Stypińce, Zielone Łąki, Przewrocie i Werbka) i Gabryela Silnickiego (Michałówka alias Świstówka, Błyszczanówka, Szaława). Małżonkowie z Paniowiec Zielenieckich przenieśli się bliżej do miasta — do Sokoła; tutaj bracia Wołodyjowscy (Jerzy i Jakób) kolejno przesiadywali, gospodarując, jak to mówią, pod bronią: wszelkiej czynności w polu wypadało doglądać na czele drużyny, bo *torhaki* tatarskie nieustannie od stepu urzyjskiego zaglądały tutaj, korzystając z niedalekiego brodu, w miejscu kędy Smotrycz wpada do starego Tyrasu. Ostatnie lata przed zaborem tureckim spędzili małżonkowie w Chreptiowie, gdzie stolnik jako komendant pilnował bezpieczeństwa szlaku, prowadzącego z Kamieńca przez Mohylów, aż do Raszkowa, a właściwie nasłuchiwał, co się dzieje na wschodzie [1]). I pani stolnikowa nie zasypiała, jak to mówią, gruszek w popiele; snać na swoją rękę administrowała spuścizną poojcowską, bo ją w ciągu kilkunastoletniego szczęśliwego pożycia z p. Jerzym znacznie powiększyła: odkupiła od sióstr Malejowce, trzecią część Zieleniec, a może i Filipowce, dokupiła Kutkowce, niedaleko Husiatyna położone, spuścizna to po Jazłowieckich niegdyś (1566), potem podzielona między Dzietrzychów, Telefusów i Wasilkowskich (1583) [2]), co więcej, rozrzutnym Dzierżkom, nieumiejącym rozchodu pogodzić z przychodem, daje pieniądze i lokuje je na Skrzyńcu i Uchańce, oddawna własnością Dzierżków będących. Powtarzamy raz jeszcze, że małżonkowie musieli żyć ze sobą dobrze, bo wzajemnie sobie czynią zapisy: pomijamy zapis dożywocia na wszystkich dobrach, dokonany jeszcze w roku 1662 [3]), bo to leżało w ówczesnym zwyczaju, potem idą pomniejsze: tak Krystyna darowywa mężowi Paniowce Zielenieckie w r. 1670, on zaś w 1671 lokuje na swoich majętnościach 8,000 zł., przeznaczonych dla dozgonnej towarzyszki [4]).

[1]) Wizyta ks. Czyżowskiego, *Zameczki Podol.*, II, st. 355.

[1]) *Acta historic. Sobiesc.* I, st. 703.

[2]) *Źródła dziej.* XIX, 200, 225 i 267.

[3]) Sum. z Arch. Makowieckich, Fas. VI, Nr. 32, str. 217.

[4]) Arch. Makowieckich, Fas. III, Nr. 1, r. 1680.

Doświadczona kobieta ulękła się spodziewanej wojny a zaproszona przez starościnę kamieniecką, Świętosławę Potocką, wyjechała z nią do Strzelec, dóbr wołyńskich starosty... Wieść o zbliżającym się nieprzyjacielu, o zagonach przebiegających wzdłuż i szerz płaszczyzn kresowych, taką trwogą kobiety przejęła, że te ku północy podążyły, kędyś do puszcz litewskich. Tam im przywiózł p. Mikołaj Potocki smutną relacyę o upadku Kamieńca, o zniszczeniu kraju po sam Lwów, o p. Krystynie, o jej nowem wdowieństwie wiadomość. Ledwie po uspokojeniu zupełnem wrócili wszyscy do Strzelec, w okolicy Dubna położonych, stawiła się tu i przyrodnia siostra Wołodyowskiej, Marya Matczyńska, także już wdowa po drugim mężu, także bezdzietna. Na Ruś wracać nie było bezpiecznie — dobra podolskie i Wołodyowskiego i pozostałej po nim wdowy, leżały w granicach ziem zagarniętych przez zwycięzców, a Paniowce Zielenieckie i Zieleńce same tak się blizko tej granicy znajdowały, tak je często rabusie Lipkowie odwiedzali, że osiadać w nich na nowem gospodarstwie zanadto było ryzykownie. Obie więc siostry zostały w Dubnie; tutaj odwiedził je dawny znajomy kamieniecki, p. Franciszek Łukasz Dziewanowski, pisarz ziemski podolski, rotmistrz pancerny, starosta Matwijkowski i Kudyjowski, człowiek poważny — ostatni tytuł, jak i ów militarny nosił więcej dla honoru, (kwestya nawet, czy nie otrzymał ich będąc wdowcem), w militarnych popisach nie gustował wcale, a królewszczyzn mu nada-

1850—1880. Wśród nowoczesnego społeczeństwa międzynarodowo - wymiennego prowincya wielkobrytyjska odgrywała rolę wrzodu, wycieńczającego kapitalizmu innych pojedynczych krajów, a zarówno jej przedsiębiorcy, jak i najmici dobywali stąd grube zyski. Rozwój przemysłu angielskiego po roku 1850, dając tłumom względną pewność zarobków, odciągnął je od ogólnej kwestyi społecznej, tak wyraźnie postawionej przez czartystów, pozwolił zorganizować się w trade-uniony, a następnie zmusić kapitalistów do dzielenia się łupami z rynku międzynarodowego. Nastaje walka samolubna fachowców pracy o podniesienie swojej jedynie cząstki w dochodzie społecznym; zrzeczono się wszystkich dążeń, które wybiegały po za wyduszenie u kapitalistów wyższej płacy i zerwano solidarność klasową ze zwykłymi niezawodowymi wyrobnikami. Inaczej dzieje się w Niemczech. Stanowisko tego państwa na rynku wszechświatowym sprawia, że pierwszym warunkiem dla istnienia kapitalizmu niemieckiego jest względnie nizki poziom zarobku, i gdyby najmici chcieli wyszrubować go do wysokości angielskiego, napotkaliby ważną przeszkodę — w ucieczce mnóstwa kapitałów z kraju. Wwładze niemieckie, zmuszone do ustępstw klasie najmickiej, a jednocześnie zdjęte obawą o losy Benjaminka kapitalistycznego, zwracają się też przedewszystkiem na drogę międzynarodowych reform — oto źródło *Weltschmerzu* u Wilhelma II. Zresztą lata ustaw wyjątkowych są poniekąd okresem niesłychanego zastoju interesów, a okoliczność ta naturalnie nie przyczynia się do zażegnania niezgody społecznej, lecz przeciwnie bardziej ją tylko potęguje. Wreszcie po za temi zasadniczemi przyczynami należy wspomnieć jeszcze jedną olbrzymiej wagi: „pozytywną politykę społeczną" Bismarka, powołującą do życia zabezpieczenie obowiązkowe na wypadek nieszczęścia i choroby, oraz państwową emeryturę dla inwalidów pracy. W samej rzeczy, rok 1883, kiedy przystąpiono do rozpraw nad instytucyami ubezpieczenia na wypadek nieszczęścia, można uważać za chwilę zwrotną w dziejach okresu wyjątkowego. Demokracya społeczna, przeciw której wymierzono reformy, wzrasta odtąd szybko. Rzecz ta wydaje się na pierwszy rzut oka dziwną; ktoś wprowadza w życie pewne, wprawdzie nieznaczne, lecz w każdym razie jakieś ulepszenia i właśnie z tego powodu spotyka się z coraz silniejszą zorganizowaną niechęcią! Lecz przy bliższem wejrzeniu sprawa ta traci swoją nienaturalność. Zatarg pomiędzy kapitałem a pracą jest tego rodzaju, że ustanie tylko wtedy, kiedy ta ostatnia zabierze całą wartość, przez siebie dodawaną wyrabianemu produktowi. Każda reforma, która dla złagodzenia sporu zaspokaja cząstkowo roszczenia najmity, tem samem uprawnia dalsze wymagania klasy pracującej i każdy prawodawca, który nie jest przygotowany iść po drodze reform aż do zupełnego unicestwienia porządków kapitalistycznych, zgóry powinien wiedzieć, że swojem postępowaniem przysparza sobie wrogów, zwłaszcza jeśli uczynił on krok pierwszy pod naciskiem głosów najmickich. Bismark stracił z oczu tę prawdę i cała też działalność jego była jedynie wodą na młyn demokracyi społecznej, która trzymając się swojej negacyjno krytycznej taktyki, przewybornie wychodziła na tem, wyzyskując słusznie reformy jako wynik swojej działalności i ustępstwo dla warstwy robotniczej. Stronnictwo to głosowało, zgodnie ze swemi zasadami, stale przeciw projektom państwowym. I ono żądało emerytury, zabezpieczenia w nieszczęściu, pomocy w chorobie, ale według wzorów demokratycznych. Widzieliśmy zamiary, rozwinięte na zjeździe w Olten. Obowiązująca każdego najmitę organizacya zawodowa, posiadająca zupełny samorząd i własne wybieralne władze, winna według demokracyi społecznej, być podstawą dla urzeczywistnienia obowiązkowej pomocy w chorobie i nieszczęściu, oraz dla obowiązkowej emerytury. Tymczasem projekty Bismarka powoływały do życia nowe a drogie urządzenia koszarowo-biurokratyczne, zwiększały potęgę centralizacyi państwowej z uszczerbkiem związków robotniczych, którym odbierały najgłówniejszą podnietę do organizowania się i tem samem rozbijały kadry najmickie, stwarzając zamiast żywej solidarności, wynikającej z samorządu, proste uszeregowanie nazwisk robotniczych w księgach biurowych. Lecz demokracya społeczna, aby pociągnąć za sobą tłumy i uzbroić je przeciw polityce pozytywnej, musiała przedstawić jeszcze inne, zrozumialsze powody swojej krytyki. Nie trudno to było jej uczynić. „Bismark daje — mówiła ona — lecz sądzicie, że czyni to z dobrego serca? Naprzód przyjrzyjcie się, jaki nędzny ochłap on wam rzuca. Czyż te parę fenigów, które dostaniecie w razie choroby, albo na starość, mają być już zwrotem za wszystkie wasze wysiłki i stratę zdrowia? Nie! Zgadzając się z samą zasadą obowiązkowej emerytury, musimy protestować przeciw rzucanemu ogryzkowi i oszczędzaniu kieszeni kapitalistycznej! A wiecie, dlaczego zwracają wam i tę odrobinę zdartego z was łupu? Obawiają się waszej potęgi i przebudzonej świadomości, chcą wam zamydlić oczy. Nie dajcie się uwieść i żądajcie całego równoznacznika waszej pracy!" I Bismark rzucał kęs po kęsie, a najmita niemiecki, zgodnie zresztą z rzeczywistością, przypisywał to wszystko demokracyi społecznej. „Jeśli 10 naszych przedstawicieli w parlamencie a 500 tysięcy głosów wyborczych zmusiły władzę do takich ustępstw, to jeśli głosów będzie milion, dostaniemy jeszcze więcej" — rozumował nawet najlojalniejszy robotnik i postępował odpowiednio.

Po Księciu Żelaznym Wilhelm II zamierza kroczyć dalej drogą pozytywnej polityki społecznej. Można zgóry przewidzieć następstwa. Schäffle w świeżej broszurze trafnie osądza te usiłowania. „Demokracya społeczna zawsze poderwie powagę polityki społecznej u tłumów. Dla każdego, kto wpatrzy się w taktykę tej partyi, jest widoczną rzeczą, że cała strategika bojowa polega na żądaniu więcej, niż władze dają. Niech one rozwiną projekt umożliwiający wybicie się wszystkim talentom i geniuszom klasy robotniczej, a demokracya społeczna zażąda tego dla wszystkich najmitów. Rząd wniesie reformę prawa hypotecznego, aby ulżyć obdłużaniu chłopskiemu, a ona będzie obiecywała włościaństwu zupełne wymazanie długów. Dążenie do prawodawstwa fabrycznego, unoszące się w powietrzu, zawczasu już przeholowała, wystawiając 8-godzinny dzień pracy dla całego świata. Gdyby władze wysypały odrazu, jak z rogu obfitości, całe mnóstwo możliwych polepszeń, społeczno-demokratyczna przewrotność nie złoży broni!" I istotnie, to krytyczno-negacyjne stanowisko jest obecnie największą siłą stronnictwa. Jedynie żółtodzióbki dziennikarskie mogą nawoływać ją do „pozyty-

---

nych nie oglądał nigdy, bo się znajdowały w ziemi zagarniętej przez turków, więc i dochodu z nich nie pobierał żadnego, a i własne mienie, choć wielka chudoba, także w rękach barbarzyńców zostało... więc stąd zabiegał o rękę podstarzałej, ale zamożnej wdowy. P. Krystyna, pięćdziesiąt kilka lat liczyła, widocznie jednak w małżeńskiem pożyciu pragnęła jeszcze zażyć szczęścia, a że dotąd — czterej rycerscy mężowie — prędko ją osierocali, dwóch z nich nawet zginęło na polu walki, choć nie jesteśmy pewni, czy i dwaj inni w tenże sposób tragiczny nie skończyli swojej doczesnej wędrówki... wolała przeto piątego wybrać z grona spokojnych ziemian. P. Dziewanowski zaś posiadał wszelkie po temu warunki: znał kraj, znał dobrze interesa białogłowy, więc opiekunem mógł być jedynym. Czy długo zaznawali szczęścia — nie wiemy — bo daty ślubowin tej przestarzałej pary nie mamy — pewnem jest wszakże — że Dubna, czy jego okolic nie opuszczali, że w końcu 1675 albo początku 1676 roku, Krystyna de domo Jeziorkowska przeniosła się do innego świata, piątego małżonka chować jej nie sądzono. Za to też ten piąty sprawił swojej nieboszczce okazały pogrzeb: kondukt prowadził ks. Jankowski proboszcz dubieński, świątynię zawieszono kirem, toż i konie ciągnące karawan; koszta w ogóle tej smutnej uroczystości wynosiły 60 zł. węgiersk. Przy zgonie p. Krystyny obecną była jej siostra Matczyńska; wspólnie też z małżonkiem zmarłej wszystkie po niej pozostałe remanenta ruchome i nieruchome polecili opiece wyżej wzmiankowanego plebana. P. Jakób Wołodyowski wszedł w posiadanie Taniowiec Zieleniecckich, jako zapisanych jego bratu, którego jedynym był spadkobiercą. W Zieleńcach osiadła p. Matczyńska. Ale był jeszcze inny sukcesor p. Krzysztof Dzierżek, zamieszkały w Skrzynnem w Lubelskiem, (ożeniony z Heleną Jeziorkowską, rodzoną siostrą Krystyny). Owdowiał już podówczas, ojciec dwóch córek podstarzałych panien i Remigiana Dzierżka, który w tym czasie, jako „tłómacz koronny" brał udział w poselstwie do Turek Jana Gnińskiego, wojewody chełmińskiego [1]). P. Krzysztof wystąpił z pretensyami do sukcesyi, szło niełatwo, oddalenie, ciągłe niepokoje, sprawa przechodziła rozmaite instancye, przeciwnicy spotkali się w Lublinie, u p. Kaweckiego, podczaszego czernichowskiego, deputata na Trybunał z wojew. podolskiego. Przyszło do burdy: Dziewanowski miał się rzucić na p. Krzysztofa z dobytą szablą, łżąc go nieprzyzwoitemi słowy, więc strony rozpoczęły proces, na mocy którego sąd nakazał przywiezienie wszystkich pozostałości po zmarłej do Lublina, nazajutrz po św. Agatonie 1678 r. z zastrzeżeniem, że gdyby Remigian Dzierżek do terminu wyżej oznaczonego z poselstwa nie wrócił, w takim wypadku termin zostaje odroczony. Jakoż ledwie w rok później rozkaz sądu wykonać się udało, ale tu nowa krzycząca zaszła poswarka między powaśnionymi; nie obeszło się nawet bez ofiar... Oto kiedy Dziewanowski, wraz z p. Matczyńską wjeżdżał do Lublina, a za nimi szło kilkanaście wozów wyładowanych spuścizną po Krystynie, dwaj Dzierżkowie, ojciec i syn, na czele oddziału zbrojnego napadli na wędrowców i tuż obok gmachu sądowego, na ulicy Kowalskiej, wszystek dobytek po nieboszce zrabowali i sześciu ludzi zamordowali. Sprawa tedy kryminalna — zatem wieża i grzywny na winnych, potem znowu p. Remigian wyruszył do Carogrodu jako rezydent, dopiero więc w 1680 r. przyszło do rozpatrzenia sprawy. Zjazd był liczny, naszych z Kamieńca znajomych — najprzód spadkobiercy trzech mężów p. Krystyny — Swirscy, Jakób Wołodyowski, Stanisław Makowiecki i Dzierżkowie i Matczyńska z siostrzeńcem Pepłowskim; w imieniu Prażmowskiej — chorążyny koronnej (*3-o voto* Mikołajowej Potockiej) — Melchior Gniewosz, w imieniu ks. Jankowskiego proboszcza Dubieńskiego — Jakób Kossowski, w imieniu kapituły Kamienieckiej — ks. Lesocyński kanonik, w imieniu kamienieckich Franciszkanów — jeden z mnichów wydelegowany przez przeora ks. Szymona Wiktora Wołodyowskiego. Orzeczenie trybunału w kategorycznych zamkniemy rezolucyach. Brat stolnika przemyskiego, Jakób miecznik latyczowski został nieodwołalnie właścicielem Paniowiec Zielenieckich. Sumę 3,000 zł., wybraną przez niego za 20 piechoty i 2 konie poległe przy obronie Kamieńca, a które się znajdowały pod komendą Jerzego Wołodyowskiego, słusznie

[1]) Niesiecki, III. 471.

wnego" programu w szrankach tegoczesnego kapitalistycznego ustroju społecznego. Tę pracę pozytywną będą do pewnego czasu snuły zagrożone w swem istnieniu klasy posiadające ze swoim centralnym komitetem: władzą państwową, a demokracya społeczna zajmie się tylko wykazywaniem niedostateczności tych środków. Równie tylko symplicyusze społeczni mogą wołać: *hosanna* wobec dekretów i reform polityki pozytywnej, lecz dla demokracyi społecznej takie głosy byłyby zrzeczeniem się całej swojej przyszłości, co więcej, zdradę sprawy — okrzyknąć tryumf może ona tylko po zorganizowaniu społeczeństwa według swoich zasad. Rozumie też ona dobrze tę swoją taktykę i nie cofa się przed żadnym upustem własnej krwi w razie potrzeby. Wśród partyi widziano przed laty 10 sędziwego starca, bojownika z r. 48, zupełnie oddanego sprawie ludowej. Lecz „polityka pozytywna" skusiła Rittinghausena; chciał on głosować za projektami Bismarka i wypowiedział zasadę: kto dał — to dał. Usunięto go z partyi. Złożył on mandat poselski i ufny w swoje dobre chęci w okręgu wyborczym, z którego tylko co wyszedł, postawił kandydaturę przeciw czystemu demokracie społecznemu — i sromotnie przepadł... Po tej próbie głosy pozytywne, zwłaszcza liczne wśród dawnych lasalistów, ucichły i stronnictwo odtąd idzie drogą negatywną, śmiejąc się, że jest „poganiaczem zbyt leniwych w robocie wołów" (mowa o działaczach państwowo-pozytywnych) i że pracę pozytywną zachowa sobie na inne czasy i inne warunki. Główne jej zadanie na dzisiaj, najdodatniejsze i najpozytywniejsze, to organizowanie tłumów i przebudzanie świadomości klasowej. Im liczniejszą i bardziej świadomą będzie ta armia najmicka, tem władze państwowe będą snuły szerszą politykę pozytywną.

K. R. Żywicki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Kongres socyalno-demokratów niemieckich w Halli, uspokoiwszy burzę wewnętrzną i załatwiwszy się dość energicznie z odszczepieństwem „młodych," zakończył swoje posiedzenia nową organizacyą stronnictwa. Sam on — corocznie zwoływany— będzie ciałem prawodawczem partyi, kierunek zaś jej spraw spocznie w rękach zarządu z siedzibą w Berlinie i organem urzędowym *Vorwärts*. Później jeszcze zatrzymamy uwagę czytelników nad tą przemianą; tymczasem niech wystarczy wzmianka, że zjazd w Halli dał zwycięztwo żywiołom umiarkowanym, politykującym, a przyniósł porażkę pierwiastkom gorączkowego czynu, anarchii lub warcholstwa. Starzy przywódcy rzeszy robotniczej: Bebel, Liebknecht, Singer pozostali nadal przy swych buławach, a dawny ustrój — w swej karności. Ostatni ten rezultat kongresu posiada szczególną wagę. Wszystkie stronnictwa zwyciężają lub mogą liczyć na powodzenie dopóty, dopóki idą w szeregach zwartych i jednej komendzie uległych. Temu centrum zawdzięcza swoje największe tryumfy, tem pokonywali przeciwników lub opierali się im socyalno-demokraci. Gdyby teraz nastąpił był rozstrój i rozluźnienie spójności, osłabiłoby ich to na długo, zwłaszcza że pokusy, które ich wabią z różnych stron, pociągnęłyby ku sobie wahających się i słabych. Czy rząd niemiecki jest zadowolony ze zwycięztwa oportunistów? Zapewne, uwalniają go oni od awantur, ale zwiększają niebezpieczeństwo powolnego i oględnego działania.

Cesarz Wilhelm postanowił uczcić rocznicę urodzin Moltkego wyjątkową uroczystością. Sprowadził go do Berlina, uda się po nabożeństwie do jego mieszkania z królem saskim i książętami, gdzie przedtem zniesione będą sztandary wojskowe itd. Nie jest to widocznie dogodzenie tylko potrzebie serca, ale manifestacya polityczna, wymierzona w stronę Friedrichsruh, dla okazania siedzącemu tam w klatce i mruczącemu lwu, że jego milczący wspólnik pogromu Francyi zasługuje na większe hołdy.

Jeżeli z Austryi nadchodzą jakieś wiadomości, to zawsze donoszące o zaburzeniach wewnętrznych, bądź politycznej, bądź ekonomicznej natury. Młodo-czesi obrazili na posiedzeniu sejmowem namiestnika za to, że przemawiał po niemiecku (po czesku nie umie), skutkiem zatargu z niemcami wystawa prazka ma być odroczoną, wreszcie służba tramwajowa w Wiedniu urządziła bezrobocie. Jest to już drugi wielki jej wybuch, a musi w^s jego środkach spoczywać słuszność, kiedy w rządzie powstała myśl przymusowego wykupienia tramwajów od przedsiębiorców, którzy za daleko posuwają swój wyzysk pracy woźniców i konduktorów.

Po otwarciu Izb francuskich, które przedewszystkiem zajęły się okrawaniem budżetu i oszczędnościami, fabrykanci skandalu próbowali wywołać widmo bulanżyzmu i prześladowaniem podnieść jego wartość. Ale przezorny minister spraw wewnętrznych dostrzegł tę pułapkę i oświadczył, że z nieszkodliwym już dziś cieniem walczyć nie będzie.

Król holenderski stał się już zupełnie niezdolnym do rządów, ale jeszcze nominalnie panuje. Gdy wszakże zniknęła już wszelka nadzieja jego powrotu do zdrowia, Izby mają się zebrać przy końcu tego miesiąca i ustanowić regencyę.

Chociaż w kantonie tessyńskim przywrócono dawny ład i rząd, liberalni nie myślą znosić dłużej jarzma klerykałów, a nawet rozszerzają swój wpływ na całą Szwajcaryę. Usiłują oni z żywiołów pokrewnych całego kraju utworzyć związek dla toczenia walki z wstecznikami. Jak wiadomo, zabójca jednego z radców podczas rozruchu tessyńskiego, Castroni, schronił się do Anglii. Szwajcarya zażądała wydania go, dotąd wszakże pretensya ta, wikłana formalnościami, pozostaje niezałatwioną.

Pancerniki niemieckie i angielskie odpłynęły do sułtanatu Witu (na wschodzie Afryki) dla dozoru nad śledztwem w sprawie zamordowania kilku niemców i ukarania winnych, którzy prawdopodobnie już dawno uciekli, ale jakiś kozioł ofiarny się znajdzie.

Zapowiedziany oddawna zjazd Capriviego z Crispim ma podobno odbyć się w Neapolu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DO BRAZYLII.

Z Mławskiego odbieramy kilka ciekawych objaśnień przyczyny i sprężyn ruchu emigracyjnego.

się jako właścicielowi Jakóbowi Wołodyowskiemu należą, sąd mu tylko 1,000 zł. „t. j. sumę prowizyjną do podziału między współsukcesorów złożyć nakazuje." Zieleńce, zajęte przez Matczyńską, zostają jej własnością, jako kompensatę spadkobiercy drugiej siostry Krystyny, mianowicie sukcesorowie Heleny Dzierżkowej, kasują dług, jaki zaciągnęli u tamtej, opierając go na swojem dziedzictwie, mianowicie Skrzynnem i Uchance. Rezygnacyę Zieleniec uczyniona przez Matczyńską, na rzecz siostrzeńca swojego Wawrzyńca Pepłowskiego, Trybunał w zupełności zatwierdza. Reszta pozostałych majętności po Krystynie z pierwszego małżeństwa Dziewanowskiej, mianowicie Kutkowce i Malejowce (w granicach zaboru tureckiego położone) winny pójść do równego działu między dwie po niej pozostałe siostry. Co do Dziewanowskiego — Trybunał nakazuje Dzierżkom zwrócić mu konia podczas napadu zabranego, 600 zł. pol. pogłównego, za sześciu zabitych pachołków (z których 200 należą Matczyńskiej), potwierdza jego rachunki pogrzebowe, ale jednocześnie rozkazuje wcielić powóz i konie do massy podziałowej, które tenże Dziewanowski jako swoją własność przedstawił.

Pretensye chorążyny koronnej Świętosławy Prażmowskiej uważa za słuszne i poleca zwrot rzeczy do niej należących (kosztowne siodło ze złoconem wędzidłem, buzdygan, klejnoty i misy srebrne). Ks. Jankowski — uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności, gdyż się wykazał dostatecznie, jako wszystkie kosztowności, po zgonie Dziewanowskiej pozostałe, złożone u siebie, doręczył prawnym jej spadkobiercom.

Co do pretensyi sukcesorów Świrskiego, pierwszego Krystyny Jeziorkowskiej małżonka, a którzy mieli sobie przyznane na pewnej części jej majątku dożywocie, sąd takowe uchyla z powodu przedawnienia, dotychczas bowiem z temi pretensyami nie występowali. Jednak nowa potem musiała nastąpić ugoda: synowiec Pawła Świrskiego, otrzymał wzamian owego dożywocia część w Malejowcach na dziedzictwo, jak tylko włość rzeczona uwolnioną zostanie z niewoli tureckiej; doczekał się owej pożądanej chwili, spadkobierca też jego władali częścią Malejowiec i dopiero Józef de Romanow Swirski przedał ją w r. 1785 r. Antoniemu Onufremu Ostrowskiemu [1]).

Sumy zapisane przez Jerzego Wołodyowskiego żonie (8,000 zł.), katedrze kamienieckiej (2,000) i Franciszkanom,kamienieckim (1200), jako oparte na dobrach, pod panowaniem tureckim zostających, nie ulegają teraz egzekucyi. Trybunał pretensyi tych nie kasuje, ściągnięcie ich odkłada do czasów pomyślniejszych, kiedy Podole wrócone zostanie. Rzecz o kosztownościach małżonków Wołodyowskich pozostała nie rozstrzygniętą, gdyż niechybnie Dzierżkowie nie złożyli zrabowanych w Lublinie sprzętów — a musiały być znacznej wartości, kiedy należące do Jerzego Wołodyowskiego, a pozostawione u jego małżonki, oceniono je zostały na 50,000 złotych [1]).

Podaliśmy z drobnostkową ścisłością dzieje spadku po Krystynie Jeziorkowskiej i jej czwartym małżonku Jerzym Wołodyowskim [2]), na zasadzie sporu wytoczonego przed Trybunał Lubelski [3]), a podaliśmy z pewnym celem; idzie nam o nakreślenie sylwetki kobiety, jaką była istotnie. Z przytoczonych szczegółów łatwo wywnioskować, że białogłowa to powszednia, a że bogata, więc mężów zawsze znajdowała łatwo, że mężowie ci łaknęli chleba gotowego u wdowy, nie oglądając się na krasę i młodość; toć czwartemu, Wołodyowskiemu w 40 roku oddała rękę, a piątemu w 52 r. poprzysięgła wierność na kobiercu ślubnym. Poczucia obowiązków właściwego kobietom kresowym brakło jej, stolnika przemyskiego, swego rycerskiego małżonka, opuściła w chwili dla niego najgroźniejszej, wymknęła się na Litwę, choć większa połowa jej kompanek i krewnych, jak matka męża, siostra nawet p. Krystyny, Marya Matczyńska, zostały na miejscu...

Dr. Antoni J.

---

1) Papiery rodziny Szalawów Swirskich.

1) Arch. Makowiecki Fan. III. Str. 36.

2) Z archiwum p. Wacława Raciborowskiego z Makowa pod Kamieńcem.

3) Act. Lublini in Judicis Ordinariis.

Obłęd ten — a inaczej tego porywu naoślep i kłamliwemi wywołanego pobudkami nazwać nie można — ogarnął całą ludność wiejską. Do Brazylii jadą lub tęsknią wszyscy: zasobni gospodarze, bezrolni wyrobnicy, parobcy i ich żony. Trudno dać wiarę, za jakie ceny wyprzedają się z ziemi, inwentarza, statków i chałup. Dość powiedzieć, że jeden z włościan sprzedał całe swoje mienie za 140 rs. Gruntem tej gorączki jest niezadowolenie ekonomiczne i chęć wyjścia z obecnego stanu. Grunt ten ujawnia się ze wszystkich dowodzeń, z najfantastyczniejszych baśni. W blasku skłamanego szczęścia i dostatku za oceanem wydaje się chłopu jego położenie obecne tak obmierzłem, że on pragnie co prędzej z niego wyjść, użyć pomyślniejszej doli.

Dla każdego obserwatora tej dziwnej emigracyi ważnem jest pytanie: jakimi środkami agenci zagraniczni zdołali wywołać ów szał? Oto ich lep, który daje miarę ciemnoty naszego ludu i jego łaknień, a zarazem wskazuje, przeciw czemu oddziaływać potrzeba.

Na obiedzie u papieża — opowiadają sobie chłopi za agentami — zebrali się wszyscy cesarze i króle. „Angliczka“ rzekła: odkryłam nowy, wielki, niezaludniony kraj, Brazylię; dajcie mi swoich więźniów, ale nie zbrodniarzów. Ponieważ inaczej wybuchłaby wojna, więc dali jej nasz lud.

Stary Bismark — głosi druga bajda — jest wielkim niegodziwcem, ale młody—zacnym człowiekiem. Przyjął on katolicyzm i w Brazylii zakłada nową Polskę. Wystawił tam wiele kościołów, sprowadza księży i wzywa lud polski, który w kraju będzie musiał po nowym roku płacić 15 rs. za chrzest, 25 — za ślub, albo przyjąć inną wiarę.

Królowa brazylijska potrzebuje 13 milionów polaków. Jest ona bardzo dobra, miłosierna i daje wielkie zarobki. Nikt tam biedy nie cierpi, bo gdy ubogi człowiek spotka na drodze bogatego pana, dostanie od niego 5 rs. Kraj jest tak bogaty, że złoto można kopać. Każdy dostaje tyle ziemi, ile zażąda, pije kawę, jada ryż, rodzenki, pomarańcze, melony. Lud tamtejszy nie rozumie polskiej mowy, więc gdy go poprosić o sól, nasypuje w miskę garść cukru. Na okręcie również jest dobrze, a choć do Brazylii daleko, są takie statki, które tylko mkną i w parę dni przelecą morze. Na jarmark do Ciechanowa ludzie stamtąd przybywali i wrócili. Przyjechała siostra pewnego księdza i przywiozła worek pieprzu, który sprzedała za 24 rs. Jeżeli na morzu ktoś zachoruje lub kobieta rodzi, okręt zaraz przybija do brzegu i po wyzdrowieniu ich jedzie dalej. W drodze zatrzymuje się na wyspie św. Heleny: tam podróżni spowiadają się i komunikują. W Brazylii księża wychodzą na spotkanie ich z procesyą i chorągwiami, prowadząc wędrowców do miejsca zamieszkania. Ci, którzy zaraz nie znajdą zajęcia, umieszczani są w hotelu długim na dwie mile: każdy dostaje oddzielny pokój, jedwabną kołdrę, jedzenia do woli, a pozostać tam może, dopóki chce.

Z Brazylii jest blizko do wszystkich miejsc świętych: do Jerozolimy 10 mil, a kiedy papież odprawia mszę w Rzymie, to tam słychać dzwony.

Panowie, obawiając się braku robotników, przekupili wszystkie dzienniki, księży, a nawet biskupów, którzy odradzają ludowi wysiedlenie się. Zresztą księża czynią to tylko na ambonie, bo na spowiedzi radzą (jest to naturalne wymysł agentów, bo żaden z opowiadających nie umie wskazać księdza, któryby go zachęcał). Jest tylko jeden dobry pan w Ciechanowie, którego nie przekupili (ale zapewnie Mośkowie już kupili) i który namawia do Brazylii. Zresztą na wiosnę podążą tam wszyscy panowie, tak, że żaden katolik nie zostanie.

Do jednego z obywateli przyszli jego służący i zaczęli go nakłaniać, ażeby z nimi wywędrował, obiecując, że tam dostanie ładniejszy folwark i że oni pozostaną u niego w dotychczasowych obowiązkach.

W przytoczonych tu brednianch widzimy zręcznie użyte wszystkie te motywy, które na umysł chłopa podziałać i jego wyobraźnię rozbudzić mogą. Obiecują mu bowiem: dużo ziemi, wielkie zarobki, lubione jedzenie, blizkość miejsc świętych, używanie rozkoszy religijnych itd. Jeżeli tylko ciemnota uwierzy w możliwość znalezienia takiego raju, to musi uledz jego ponętom — i ulega. Dotychczasowe wysiłki potargania tej oszałamiającej fantazyi zawiodły. Chłop nie ufa nikomu, tylko agentowi. Czasem śród swego otoczenia spotka uwagę, która go nieco zastraszy. Tak np. gdy odurzonym marzycielom ktoś powiedział, że ich przed wsadzeniem na okręt piętnują i znaczą numerami jak bydło, stropili się. Może takich strachów dałoby się znaleźć więcej, ale żeby je wymyśleć, trzeba znać osobliwą wrażliwość i logikę tych dusz prostych lepiej, niż ci, którzy je oświecić pragną.

Według *Gazety warszowskiej*, emigracya do Brazylii rozpoczęła się w powiatach nadgranicznych: mławskim, sierpeckim i rypińskim, skąd zaczęli wywędrowywać zarówno gospodarze, jak najmici, wyprzedając wszystko.

„Objawem szczególnym w nowej formie wychodźtwa, całkiem różnej od dawniejszej emigracyi amerykańskiej, jest to mianowicie, że włościanie wyruszają całemi gromadami, z kilkuset osób płci obojej i dzieci złożonemi, zabierając jako jedyne dowody legitymacyjne—metryki, a za całe ruchomości: pościel i ubranie. Reszty pozbywają się na wpół darmo na targach w Płocku lub miasteczkach powiatowych, z powodu czego dopęd inwentarza i dowóz drobiu, jarzyn i nabiału na targi ogromnie w ostatnich dniach się powiększył. Emigranci płoccy, udający się do Brazylii, skierowują się na Mławę lub miejscowości okoliczne, pograniczne, do Iłowa lub Działdowa w Prusach, nad samą granicą naszą położonych miasteczek, gdzie dwie agencye różnych towarzystw żeglugi transatlantyckiej zaopatrują emigrantów w karty okrętowe i wysyłają ich partyami po kilkaset koleją do portów, gdzie oczekują ich specyalne do przewozu parowce. Przed tą całą manipulacyą wszakże agenci w Iłowie i Działdowie segregują wychodźców, odrzucając i polecając powracać do kraju słabszym fizycznie i sędziwym, jako niemającym po co jechać do Brazylii, gdzie potrzeba tylko rąk zdrowych i silnych do pracy.“

Oszuści obiecują im: 10-letnie zwolnienie od podatków, dwie włóki gruntu z lasami i łąkami, ojcowską opiekę „arcybiskupa,“ który rządzi Brazylią itp. Za karty okrętowe w Iłowie i Działdowie pobierają po 50 rs., ile zaś za przejazd koleją i „informacye“ — nie wiadomo.

Taż sama gazeta odbiera doniesienie z pod Ciechanowca, że tam

„młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety o niczem nie radzą, tylko o złocie, klejnotach, bogactwach i olbrzymich zarobkach w Brazylii, które jakoby papież darmo rozdaje tam katolikom! Emigracya rozwinęła się szczególnie w pow. bielskim i białostockim, przytykających do Królestwa Polskiego. Po małych miasteczkach można dostać za bezcen: krowy, trzodę chlewną, kożuchy i sprzęty domowe odurzonych szałem wychodźtwa włościan i wyprzedających się na gwałt ze wszystkiego. Przekupnie nabywają wszystko za grosz marny, robiąc na tem korzystny interes. Jest obawa, że niektóre gospodarstwa będą musiały zawiesić wszelką prace dla braku rąk, które podążyły na kraj świata za urojoną gwiazdą szczęścia.“

Według *Kuryera warsz.*, wspomniane wyżej agencye sprzedały już w tym roku około 3,500 kart za 175,000 rs.

Pismu temu donoszą z Konina:

„Wychodzą nietylko ubodzy wyrobnicy, lecz i posiadacze niewielkich osad, to też w wydziale hipotecznym aż się roi od interesantów. Włościanie sprzedają grunty za bezcen, nieznadujący zaś nabywców zapisują osadę komukolwiek z krewnych. Sprzedają też wszystkie rzeczy i wszelkie sprzęty.

Wychodźcy z okolicy, nie mogąc u siebie na wsi pozbyć się rzeczy, przyjeżdżają do miasta i tu urządzają kompletne targi pociejowskie.

Od jednej z kompanij emigrantów słyszałem takie bajki: Przed 14 laty już wyjechało do Brazylii mnóstwo ludzi; było im tam bardzo dobrze, gdy naraz dzicy się zbuntowali i wszystkich naszych wymordowali i zjedli. Zebrali się tedy monarchowie na naradę i ciągnęli losy, komu w udziale dostać się ma Brazylia, by się nią opiekować; los ten wyciągnął papież. Przez trzy dni Ojciec święty nic nie jadł i nie pił, tylko wciąż się modlił, by mu Pan Bóg dopomógł do trudnego dzieła, to też Pan Bóg wysłuchał Ojca świętego, bo wszyscy dzicy zaraz tam wymarli, nasi zaś tam jadą, bo zachęceni są do tego wyższą siłą.“

Z Kalisza:

„Kontyngens wychodźców rekrutuje się przeważnie z pomiędzy włościan bezrolnych, którzy stanowili dotąd główną siłę roboczą w większych majątkach; gdy szeregi ich przerzedzą się, prowadzenie gospodarstwa zostanie w wysokim stopniu utrudnione. Powstała stąd próżnia prawdopodobnie z czasem zapełni się i na miejsce emigrantów przybędą inni, pomiędzy tymi dwoma momentami jednak może upłynąć spory okres przejściowy i tego właśnie najbardziej obawiają się ziemianie tutejsi.

Znam już wypadek, w którym przewidywany ubytek rąk wywrze o tyle znaczne skutki, iż będzie musiał być zmieniony cały tryb produkcyi, wskutek zamknięcia gorzelni, pozostawionej bez robotników.

Perswazye nic tu nie pomagają, a częstokroć wywierają nawet skutek wprost przeciwny; włościanie bowiem wnioskują stąd, że muszą być wyzyskiwani, skoro pracodawcom tak chodzi o ich zatrzymanie.“

Z Białegostoku:

„Jadą włościanie i to nietylko bezrolni; jadą zamożni nawet mieszczanie, jak to miało i ma miejsce np. w Surażu; emigrują robotnicy fabryczni, drobni oficyaliści, stosunkowo nieźle dotychczas mający posady, wychodzą wyrobnicy miejscy, słowem jedzie, kogo tylko los zetknie z jednym z zastwiającą zręcznością ukrywających się agentów lub z namówioną już przez niego i złudnemi obietnicami omamioną ofiarą.

Agitatorowie ci karty okrętowe posiadają w dowolnej ilości, sprzedają zaś je po 5, 4, a nieraz i 2 rs., a nawet rozdają darmo.“

Z Tomaszowa rawskiego:

„Prąd emigracyjny ogarnął u nas całą okolicę. Niema wioski, gdzieby nie mówiono o kilku lub kilkunastu rodzinach kmiecych, wybierających się „za morze — do pustego kraju.“

Według mniemania naszych włościan, w tym pustym kraju „nie ino grunt darmo dają, ale i tyla pieniędzy na dobytek, że ćłek nie wie, co z niemi robić! A co u nas chłop z babą bez tydzień nie zarobi, to tam sześcioletni chłopak bez dwa dni, bo i dzieciom nawet we fabrykach płacą na dzień po pół rubla.“

Wszelkie perswazye, czynione obałamuconym, wprost przeciwne wywołują skutki. „Dziedzic i ksiądz, to jedną zawdy chodzą drogą! Dziedzicowi idzie o robotnika; ksiądz zawdy stronę dziedzica trzymo.“ Oto jest logika, o którą rozbijają się najlepsze chęci.“

Z tejże okolicy donosi korespondent *Kuryera codziennego*:

„Ażeby dać wyobrażenie o ciemnocie tych pielgrzymów do „ziemi obiecanej,“ przytoczę rozmowę dwu wyrostków, której sam byłem świadkiem. „Powiedzno Jasiek, czemu ty się nie wybierzesz już raz do tej Franzylii, dyć tam figi i pomarańcze tak nizko rosną, że nawet sięgnąć ręką po nie nie trza.“ „A dyć pojdę, tylko tera to nie można, bo tu trza przejść Czerwonem morzem, a ono, widzisz, bez te upały zaśmiardło.“

Z Włocławka:

„Gdy w poniedziałek d. 6 b. m. na pociąg pośpieszny, idący o godz 3 od Aleksandrowa, ani jeden z dorożkarzy się nie stawił, dowiedziała się policya, iż wszyscy automedoni udali się

w stronę Kowala, osady odległej o wiorst czternaście od Włocławka i to próżnemi bryczkami. Rozstawiono więc czaty i w lesie, na piątej od miasta wiorście, zatrzymano osiem bryczek naładowanych emigrantami. Po dostawieniu partyi do biura p. policmajstra, okazało się, iż emigrantów było 50 osób, różnej płci i wieku, przeważnie robotników z Żyrardowa. Zapytani, kto ich nakłonił do wyjazdu, nie dawali odpowiedzi, twierdząc, że brak zajęcia i mały zarobek, jaki mieli w fabryce żyrardowskiej (?!), skłaniają ich do szukania chleba na obczyźnie! Pomimo tego jednak policya wpadła na ślad kilku miejscowych przemytników, z którymi partya ta musiała być w porozumieniu, przy ich pomocy usiłując przedostać się za granicę. Winni pociągnięci zostaną do odpowiedzialności, główny zaś sprawca podobno ujęty w Żyrardowie. Jest to znany we Włocławku pilnikarz, który od pewnego czasu porzucił swoje rzemiosło i zaczął bawić się w pana..."

Słowo otrzymuje z pow. sierpeckiego następującą wiadomość:

„Do Brazylii przyjmują tylko młodych, żonatych katolików. Przywożą ich najpierw do Marsylii, a potem na miejsce, pod warunkiem, iż pisać do rodziny nie będą. Rzeczywiście, listy z Brazylii nie przychodzą, podobno bowiem rewidują je tam i jeżeli co niekorzystnego zawierają, niszczą. Widocznie więc nie słodkim musi być żywot biednego emigranta w ojczyźnie Dom Pedra, zastępuje on tam bowiem negra, oswobodzonego z niewoli staraniem wygnanego monarchy. Lecz tymczasem nie wie on nic o tem, a ogłamucony obietnicami żydów-agentów, śni literalnie o złocie i brylantach, które ma zgarniać jak kartofle; to też rzuca służbę, zostawia niewykopane ziemniaki, marnuje chudobę i dobytek, a nawet zagon ojczysty i płynie do Brazylii. Były wypadki, że włókę gruntu za rs. 300 sprzedawano... Cóż więc mówić o służących. Tych nic nie zatrzyma: ani zobowiązanie zaciągnięte, ani zasługi niewypłacone. To też są na pograniczu folwarki dotąd nie obsiane, gdyż rataje i parobcy popłynęli do Rio Janeiro."

Sprawiedliwość zaznaczyć nam każe, że jakkolwiek w korespondencyach ciągle powtarza się wzmianka o „żydach-agentach," podane dotychczas nazwiska „naganiaczów" nie potwierdzają tego wcale. Wyśledzono dotąd trzech łotrzyków w okolicy Białostoku — mają to być, według *Kuryera warsz.*: Kędzior, Bidrycki i Konarzewski.

ZWIĄZEK MIĘDZYNARODOWY
PRAWA KARNEGO.

I.

W nr. 22 *Prawdy* z r. z., przedstawiając program IV międzynarodowego kongresu więziennego, wspomnieliśmy w paru zaledwie słowach o Związku prawa karnego. Obecnie z okazyi drugiego dorocznego zebrania w stolicy Szwajcaryi chcemy bliżej zapoznać z nim czytelników *).

Związek międzynarodowy prawa karnego (Union internationale de droit pénal, Internationale kriminalitische Vereinigung) powołany został do życia przed dwoma laty, dzięki staraniom prof. Liszta i Van-Hamela, oraz generalnego inspektora więzień belgijskich, Prinsa. Jako bezpośredni bodziec do utworzenia go należy bez wątpienia uważać powodzenie, jakiem coraz bardziej cieszyć się zaczęły nowe poglądy, zaszczepione na gruncie ustawodawstwa karnego przez niespecyalistów, tj. lekarzów i socyologów. Wobec wyłomu, uczynionego przebojem przez antropologiczną szkołę w chińskim murze t. zw. klasycznej teoryi prawa karnego, należało połączonemi siłami wszystkich kryminologów zebrać się do oceny twierdzeń nowej szkoły; należało zbadać, jakie reformy potrzeba wprowadzić do obowiązujących kodeksów, aby usunąć wady, wskazane i wyświetlone w pracach Lombrosa i jego licznych zwolenników. Zresztą charakter i cel Związku najlepiej widnieje z ogłoszonego w swoim czasie programu, z którego przytaczamy tylko dwa pierwsze paragrafy, pomijając pozostałe 8, jako dotyczące wewnętrznej organizacyi, wyboru członków wydawania uchwał itp.

§. 1. Związek międzynarodowy prawa karnego jest przekonania, że przestępstwo i kara powinny być rozpatrywane nietylko ze strony prawnej, lecz także społecznej. Ma on na celu przeprowadzenie tej zasady oraz jej następstw w nauce i prawodawstwach karnych.

§. 2. Jako zasady przewodnie i podstawy swych prac Związek przyjmuje tezy następujące: *a)* Zadaniem prawa karnego jest walka z przestępstwem, jako zjawiskiem społecznem. *b)* Nauka karna, a zatem i prawodawstwo winny mieć na względzie wyniki badań antropologicznych i socyologicznych. *c)* Kara jest jednym z najskuteczniejszych środków, jakimi rozporządza państwo w walce z przestępstwem, lecz nie jest ona środkiem jedynym. Nie powinna być zatem odosobniona od innych środków, głównie zaś nie należy zaniedbywać zapobiegających. *d)* Między przestępcami przypadkowymi a nałogowymi zachodzi istotna różnica w praktyce i w teoryi, zatem powinna stanawić podstawę przepisów ustawy karnej. *e)* Ze względu na to, iż sądy karzące i zarząd więzienny dążą do wspólnego celu, a wartość skazania zależy od sposobu wykonania kary, rozdział przyjęty w kodeksach obowiązujących między władzą sądową a więzienną jest szkodliwy i bezzasadny. *f)* Ponieważ kara pozbawia wolności, słusznie zajmuje pierwsze miejsce w naszym systemie, Związek szczególną uwagę zwraca na wszystko, co dotyczy ulepszenia więzień i łączących z niemi instytucyj. *g)* Co do kar więziennych krótkotrwałych, Związek jest zdania, że zastąpienie ich środkami równie skutecznymi jest możliwe i pożądane. *h)* W kwestyi kar więziennych długotrwałych, Związek wyraża zdanie, iż należy czas trwania więzienia uczynić zależnym nietylko od ciężkości (materyalnej i moralnej) popełnionego przestępstwa, lecz także od skutków wywartych przez regulamin więzienny. *i)* Co do przestępców nałogowych, niepoprawnych, Związek mniema, iż niezależnie od ciężkości czynu, a nawet w wypadkach powtórzenia wykroczeń, system karny powinien przedewszystkiem postawić tych przestępców w niemożności szkodzenia przez czas jaknajdłuższy.

Już po ogłoszeniu i rozesłaniu programu wybitniejszym kryminalistom, okazała się potrzeba uzupełnienia go następującą uwagą, umieszczoną w nr. 1 *Bulletin de l' Union internationale de droit pénal*, a to z powodu, iż niektórzy z zaproszonych odmówili byli przystąpienia do związku, nie podzielając w zupełności wszystkich wyżej przytoczonych tez. „Związek międzynarodowy — głosi uwaga — bynajmniej nie żąda od członków przylączenia się do pewnej teoryi karnej. Pozostawiając na uboczu czysto teoretyczne spory szkół, ma on na widoku cel praktyczny, mianowicie stopniowe przekształcenie obowiązującego prawa w duchu zupełnego przystosowania kary do celów, do jakich dąży. Każde ustawodawstwo karne powinno nosić cechy narodowe, powinno być w zgodzie z prawdziwym charakterem państwa i ludu, dla którego jest przeznaczone. Lecz z drugiej strony każde ma podstawy naukowe, niezamykające się w granicach danej narodowości. Związek nasz będzie zatem międzynarodowym, oddając do rozporządzenia prawodawcy każdego kraju rezultaty, osiągnięte dzięki wspólnym usiłowaniom. Stowarzyszenie, zamierzające zreformować prawodawstwo na podstawach naukowych, powinno wyraźnie i przynajmniej w ogólnych zarysach oznaczyć cele, do których dąży i podstawy, na jakich w dążeniu swem oprzeć się zamierza. Oto dlaczego związek występuje z określonym programem. Zasady, głoszone w § 2, powinny być poczytywane nie jako należące do pewnej doktryny, nie jako przykazania nauki prawa karnego, lecz jedynie jako podstawy działalności stowarzyszenia: są one wytycznymi punktami ogólnego kierunku jego prac."

W połowie r. b. Związek liczył ogółem 360 członków w rozmaitych państwach (Niemcy 107, Węgry 49, Austrya 32, Holandya 21, Włochy 18, Rosya 17, Szwajcarya 16, Belgia 11, Francya i Hiszpania 9). W kilku państwach utworzono „grupy krajowe," które przedwstępnie badają kwestye przyszłych kongresów, dla łatwiejszego zaś porozumienia się członków itp. istnieją wszędzie delegaci, którzy są zarazem przedstawicielami swego kraju. Obecnie w Rosyi obowiązki te pełni prof. Fojnickij w Petersburgu.

Pierwszy kongres odbył się w Brukselli 7 i 8 sierpnia 1889 r. Porządek dzienny obejmował następujące 4 pytania:

1) Czy należy zalecać wprowadzenie warunkowego skazania, za przykładem Belgii, do kodeksów karnych innych państw?

2) Jakie środki można zalecać prawodawcy dla ograniczenia więzienia krótkotrwałego?

3) Jakie są wady obecnego systemu zwalczania recydywy?

4) Od jakiego wieku winno się rozpoczynać dochodzenie kryminalne przeciw przestępcom nieletnim? Czy przymusowe wychowanie nieletniego ma być zależnem od spełnienia przez niego czynu przestępnego?

Warunkowe skazanie, poruszone w pierwszem pytaniu, stosowane od lat kilkunastu z powodzeniem w Stanach Zjednoczonych Ameryki, po raz pierwszy w Europie zaprowadziła u siebie Belgia, prawem z d. 31 maja 1888 r. Brzmi ono: „Przy skazaniu na jedną lub więcej kar, gdy kara główna lub dodatkowa, albo przy zlaniu kar, nie przenosi 6 miesięcy więzienia, a winny nie był uprzednio skazany za zbrodnię lub występek, sąd może przez motywowane orzeczenie zarządzić, aby wykonanie wyroku było odroczone na pewien przeciąg czasu, licząc od daty wyroku, nie dłuższy jednak jak lat 5. Skazanie uznaje się za niebyłe, jeśli w ciągu tego terminu winny nie ulegnie ponownemu skazaniu za zbrodnię lub występek. W razie przeciwnym obie kary, ta, która odroczoną została i ta, na którą skazany został ponownie, będą wykonane." Jak widzimy, prawo to, zamiast kary więzienia za pierwsze wykroczenie, uznaje w pewnych wypadkach za zupełnie dostateczną jedynie groźbę na przyszłość, zawieszona nad głową winnego miecz Damoklesa, który ma go od powtórnego wykroczenia odstraszyć. Według panującej w obecnem prawodawstwie zasady, opartej na metafizycznej teoryi sprawiedliwości absolutnej, odwetu itp., każde wykroczenie pociągnąć musi za sobą odpowiednią karę. *Fiat justitia — pereat mundus.* I ginie, nie świat wprawdzie, ale niejedna jednostka w gruncie uczciwa i niezepsuta, która zhańbiona pobytem w więzieniu, w otoczeniu złoczyńców z zawodu, pokutuje za prostą nieostrożność, nieświadomość lub lekkomyślność, i dopiero po wyjściu stamtąd staje na drodze prawdziwego występku i demoralizacyi. Temu stara się zapobiedz zasada zawieszenia kary. Nie dziw też, iż zgromadzenie kryminologów jednomyślnie odpowiedziało twierdząco na pierwsze pytanie, zastrzegłszy tylko uwzględnienie warunków miejscowych w każdym kraju. Co się tyczy rezultatów praktycznych, osiągniętych przy stosowaniu odnośnego prawa w Belgii, stały się one wiadome dopiero teraz, o czem zakomunikował Prins na kongresie toporczym. Z ogólnej liczby 284,000, warunkowo skazanych było 13,195 (niecałe 5%), z nich tylko 200 (mniej 1/5%) nie spełniło warunku i uległo ponownemu skazaniu, a więc i karze.

Wykazanie bezużyteczności, a nawet szkodliwości kary krótkotrwałego więzienia stanowi bezsprzecznie wielką zasługę an-

*) Z materyału we wrześniowym zeszycie pisma *Jur. Wiestnik*.

tropologicznej szkoły prawa karnego. Dane i fakty, jakie skrzętnie zebrał Lombroso i Garofalo, rzuciły ponury cień na ten tak powszechny w prawodawstwach środek walki z przestępstwem. Dowiedziono np., że bardzo wielu złoczyńców stara się umyślnie dostać do więzienia, zwłaszcza na czas miesięcy zimowych, uważając je za doskonały hotel bezpłatny. Kongres po długich rozprawach, w których uczestniczyli dr. Benedikt, van Hamel, Liszt i Garofalo, oświadczył się za wprowadzeniem, w miejsce kary więzienia za drobne wykroczenia, 1) rękojmi spokoju (dobrego sprawowania się) i poręczenia obywateli, 2) kary pieniężnej z uwzględnieniem majątku skazanego, 3) pracy na użytek społeczny.

Teorya poprawy przestępcy, która od początku bieżącego wieku wzięła górę nad dotychczasową teoryą odstraszenia, w wielu punktach doznała bolesnego zawodu i rozczarowania. Dość spojrzeć na pierwsze lepsze wykazy statystyczne jakiegoś kraju, aby z cyfr, dotyczących recydywy, czyli powtarzania przestępstw, o porażce tej naocznie się przekonać. Po wszechstronnej dyskusyi na tle referatów prof. van Hamela i adw. Lucas-Porto, zgromadzenie przyjęło następującą rezolucyę: „Zwalczanie recydywy jest obecnie zasadniczo zupełnie niedostateczne. Za najgłówniejsze wady poczytać należy: 1) błędny podział i jednakowe traktowanie przestępców nałogowych i okolicznościowych; 2) częste wymierzanie krótkoterminowych kar więzienia, wskutek czego przestępcy nałogowi, recydywiści, pozostają zbyt często w społeczeństwie, które od nich niema obrony."

Ostatnie pytania, dotyczące nieletnich, odroczone zostały, zgodnie z wnioskiem referenta, sędziego A. Moldenhawera z Warszawy, do przyszłych obrad Związku, a to z powodu, iż miały być rozważane także na IV międzynarodowym kongresie więziennym w Petersburgu. O tym drugim kongresie kryminlogów pomówimy w artykule następnym. *Leon L.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Powieściopisarstwo niemieckie w oświetleniu francuskiem. — Wykłady dramaturgiczne Alfreda Bergera.

Nie można odmówić niemcom pewnej zalety: są oni bezstronnymi w ocenianiu utworów tych nawet narodów, z którymi politycznie we wrogich pozostają stosunkach. Francuzom zalety tej przyznać nie można: ich książki o piśmiennictwie niemieckiem, zazwyczaj obok jaskrawych dowodów nieznajomości, zawierają sądy krzywdzące, i pyszałkowate. Nie bez zdziwienia więc przeczytaliśmy pracę Edwarda Morsiera *) który pragnie zapoznać francuzów z powieściopisarstwem niemieckiem i rzadką odznacza się przedmiotowością, a nawet życzliwością. I on wszakże nie posiada dokładnych informacyi, chociaż przebywał w Niemczech i wybornie włada językiem niemieckim. Zdaje się, że zna stosunki literackie bardziej z podręczników literatury, aniżeli z życia i obserwacyi bezpośredniej, opis jego bowiem stosować się może chyba do minionych dawno czasów, kiedy marzyciele romantyczni zachwycali panią Staël, a Börnego i Heinego do ironii pobudzali. Według niego powieściopisarze niemieccy są przedewszystkiem indywidualistami, partykularzystami: każdy pisuje swe utwory tam, gdzie stale przebywa i oddaje koloryt swej małej ojczyzny. Wyraża w nich osobiste cierpienia i radości, odbija drgnienia własnego serca i przemawia właściwie tylko do najbliższego koła przyjaciół, nie troszcząc się ani o krytykę, ani o publiczność. Zakopują się oni po małych miasteczkach, jak Wiesbaden lub Monachium (!) lub nawet po wsiach, byle tylko ujść oczom ciekawego tłumu. Francuzi zaś wyrażają to, co obchodzi całą ludzkość bez różnicy wyznań i narodowości.

*) *Romanciers allemands contemporains*. Paris, Perrin & C-ie 1890.

Trudno zgodzić się na podobne poglądy, umieszczone w przedmowie do dzieła Morsiera. Dzisiejsi autorowie chyba do takich oryginałów nie należą, samotności nie szukają, ani nie gardzą krytyką i smakiem publiczności. „Miasteczka," w których się gromadzą, jak np. Lipsk, Monachium, Drezno, Frankfurt itd., nie są znów tak drobnemi, jak się paryżaninowi wydaje; zresztą wiadomo, że autorowie niemieccy obecnie skupiają się w Berlinie, podobnie jak francuscy w Paryżu. Ci znów chyba tak bardzo o ludzkość się nie troszczą, a we wszystkich niemal utworach nowszej literatury francuskiej indywidualność narodowa, co więcej, miejscowy koloryt paryski występuje wybitnie.

Trafniejszą już jest charakterystyka różnic wychowania francuskiego a niemieckiego. Podczas gdy młodzież francuską żywią ciągle jeszcze klasykami, zmierzając do wyrobienia w niej zdolności retorycznej, niemiecka bynajmniej nie karmi się retoryką. Nie styl, lecz myślenie wyrabia się w szkołach wyższych. Zamiast ćwiczyć się w dyalektycznem rozwijaniu danego tematu, młodzież dąży do samoistności zdania, do krytyki argumentów.

Wstęp jest najbardziej zajmującą częścią dzieła Morsiera. Sądy jego o powieściopisarzach niemieckich nie są ani oryginalne, ani pouczające. Dłuższą charakterystykę poświęca czterem tylko autorom: Spielhagenowi, Heysemu, Freytagowi i Raabemu. Mylnie jednak czyni ich głównymi przedstawicielami czterech rozbieżnych kierunków powieściopisarstwa niemieckiego.

Wykłady dramaturgiczne Bergera, wygłoszone zeszłej zimy we wszechnicy wiedeńskiej, pojawiły się obecnie w formie książkowej *) i obudziły żywe zajęcie w kołach interesujących się dramatem i sceną. Autor, docent uniwersytetu i były sekretarz Burgtheatru wiedeńskiego, występuje w nich jako człowiek łączący teoryę z praktyką, powołuje się jednak głównie na doświadczenia osobiste, twierdząc, że poglądy swe niejako przeżył w głębi duszy. Dla ludzi postępowych książka Bergera zawiera wiele rzeczy niestrawnych. Jest on umysłem konserwatywnym pod każdym względem, co mu ułatwia karyerę, przeciwnikiem naturalizmu i zdecydowanym teistą; z pesymizmem walczy, ile razy znajdzie sposobność. Od większości estetyków różni się tem, że sztukę aktorską ceni bardzo wysoko, przyznając jej żywiołową, twórczą potęgę. Dramat książkowy dla niego jest potworem literackim; dramat, którego wystawić nie można, porównywa on do obrazu niewidzialnego. Już to porównanie powie czytelnikowi, że Berger goni za dowcipnemi „światełkami," poświęcając dla nich często rozum. Pragnąc pokazać się praktykiem doświadczonym, idzie za daleko. Według niego jest to jedną z głównych wad dramaturgów nowoczesnych, że nie pisują dla pewnej sceny, dla pewnej trupy. Za czasów Shakespeare'a poeta, aktor i reżyser postępowali w ścisłem porozumieniu. Dziś zaś poeta i teatr spotykają się ze sobą zbyt późno. Bierze on za złe autorom, że pisują sztuki przy biurku, nie na krześle reżyserskiem. Shakespeare i Molier zawdzięczają swą sławę dramatopisarską temu, że byli aktorami! Wszystkie te wywody nie wytrzymują krytyki. Co to za dzieło, które pełnem powodzeniem cieszyć się może na jednej tylko scenie, przez lat kilkanaście, dopóki skład trupy pozostaje niezmienionym? Dramatopisarz prawdziwie wielki tworzy postacie dla wszystkich czasów, żyjące w sobie, nie sztuką aktora, a dzieło jego na wszystkich scenach równie potężne czynić powinno wrażenie. Z drugiej strony nieprawdą jest, jakoby dziś nie pisano dramatów z uwzględnieniem indywidualności aktorskich i właściwości pewnych scen. Sardou i Dumas czynią to zawsze, w Wiedniu przez lat tyle pisano sztuki zastosowane do właściwości Wolterowej.

*) *Dramaturgische Vorträge*, Wiedeń, Konegen.

Atoli Berger lubuje się w paradoksach i w zręcznej dyalektyce. W objaśnianiu „Hamleta" i Grillenparcerowskiej „Żydówki z Toledo" okazuje istotnie niemało sprytu. Dochodzi wszakże do rezultatu sprzecznego z tem, co głosił poprzednio: przyznaje bowiem, że dramat, który posiadać ma wartość trwałą, koniecznie zawierać musi treść i postacie typowe, utwory zaś o postaciach zbyt indywidualnych rychło ustępują z widowni. Krytyce Berger stawia wymagania, którym ona rzadko zadość czyni. Kto ocenia dzieło umysłu, powinien znać je tak dokładnie, jak autor. Taką znajomość posiada on istotnie w rozbiorze dramatu Hebbla „Gyges und sein Ring," który dzięki jemu wystawiony został w Burgtheatrze; on pierwszy może zgłębił i objaśnił publiczności wspaniałą symbolikę pierścienia Gygesa i zasłony Rodopy.

Berger w wykładach swych schlebia najbardziej aktorom, wygłosił on je bowiem w czasie, kiedy był pretendentem do krzesła dyrektorskiego w Burgtheatrze. Dziś Burkhardt zajął to miejsce. Berger zaś, ogłaszając obecnie wykłady swe drukiem, okazuje, iż nie zrzeka się swej ambicyi. Wątpimy, czy otworzą mu się jeszcze kiedyś podwoje Burgtheatru; ale może inny jakiś teatr niemiecki odda mu kierownictwo artystyczne. *Ladawa.*

ŚRÓD MUZ.

VII.

Po raz pierwszy uczuliśmy się dziećmi wielkiego miasta. W jesieni, zdala od karnawału i wielkiego postu, poczęstowano nas koncertem, którego nie powstydziłaby się żadna stolica Europy...

„Z głową rozstrzaskaną na poły, z wsadzoną na rożen jaźnią..." ach, przepraszam, zapomniałem, że nie jestem krytykiem muzycznym i że mi od przytomności odchodzić nie wolno. Nie popełniłem jeszcze dotąd ani jednej recenzyi instrumentalno-wokalnej, więc i teraz wobec tak ważnego „evenementu" podzielę się z łaskawymi czytelnikami wrażeniami i sądem zwykłego śmiertelnika, zostawiając mu zupełną swobodę zdania.

Przedewszystkiem tedy wyrazić muszę podziw dla p. Rzebiczka, że z pamięci prowadził orkiestrę przez całą IX. symfonię Beethovena — wystudywać ją aż do tej biegłości jest nawet dla muzyka zawodowego rzeczą bardzo trudną, powtóre hołd złożyć mu muszę za batutę, która w *Toccacie* Bacha i *Kołowrotku Omfali*, oraz w pierwszej części *Hymnu do radości* dokazywała cudów. W dalszym ciągu chóry nader liczne i pierwszy raz pasowane na tak ważne posłannictwo, i wobec wysoko napisanej kompozycyi, musiały, zwłaszcza pod koniec strof niedociągać, gubić się i wprowadzać pewien zamęt.

Ofiarowałbym nawet dzielnemu kapelmistrzowi wieniec, na jaki mię stać, gdyby nie upowszechniony u nas, a chyba z Baranich Głów przeniesiony zwyczaj nagradzania „przy okazyi" wszystkich tych, co się przypadkiem znaleźli na estradzie, choćby z krzywdą i nietaktem względem faktycznych uczestników występu.

Wreszcie podziękowanie mu się należy, że wprowadziwszy raz świeży artykuł, bardzo drogocenny i piękny, a mianowicie wspomniane utwory Bacha i Saint-Saensa, nie zapomina o nich od owej zimy, kiedy

je usłyszeliśmy po raz pierwszy, i że energią swą, którą widocznie w wysokim posiada stopniu, zmusił do karności zarówno plebs teatralny, jak „divy,“ dziewy i dziwożony, tak imponujące owej niedzieli liczbą, kształtami i... wiekiem. Nawet w tem widzę albo zasługę dyrektora, albo szczęśliwy zbieg wypadków, że waryacka partya Wagnera złożona została w ręce i gardła śpiewaczek, które zdążyły dobrze poznać uroki wiosny, bo tylko takie umieją nie robić fiasca. Co prawda, wielki twórca Lohengrina zzieleniałby ze złości i gniewu na widok cielęco uśmiechniętej i ustawicznie błaznującej twarzyczki jednej z nich, najmłodszej — on co od twarzy i ruchów tak surowo żądał dostrajania się do treści i powagi opery, ale temu już p. Rebiczek nie winien, pomimo iż jest, jak sądzę, wybitnym zwolennikiem Wagnera.

Po *Zaczarowanym flecie* Mozarta, po prześlicznej, poważnej i zlekka pudrowanej Toccacie i perle kompozytora francuskiego, w której nie wiadomo co podziwiać, czy wytworną elegancyę, czy melodyjność głównego motywu, czy pyszną instrumentacyę, czy robotę filigranową — rozległo się żywiołowo-dzikie „hojotoho!“ Walkir, mknących przez powietrze na spienionych rumakach, śród piekielnego wycia huraganu.

Wzięto z muzyki przyszłości jeden z najbardziej znamiennych momentów, w którym połączyła się niezkiełznana, wyolbrzymiała tłem puszcz gotyckich fantazya legendy, trudność melodyi, porwanej na wściekłe, naturalistyczne okrzyki czarownic i ów wieczny akompaniament Wagnera, który czy w *Parcifalu*, czy *Latającym Holendrze*, czy czarodziejskich *Wieszczkach* robi wrażenie, jak gdyby strop niebieski, cały z kryształu, pękł nagle i padał w mirjadach huczących tęcz...

Zaczynam teraz wierzyć, że zapowiedź wystawienia po odnowieniu i przerobieniu teatru — kilku oper z dalszej twórczości tego samego autora, nie będzie obiecanką-cacanką. Brawo, panie dyrektorze, przekonaj nareszcie zawziętych klasyków, że Wagner, to nie olbrzymia kuźnia, w której tysiące ciężkich młotów o tyleż kowadeł tłucze i która darząc słuchacza migreną, przyprawia go zarazem o pęknięcie bębenków usznych, lecz że to protest przeciw maszynkom choćby najbardziej włoskim, do swawolnego łaskotania słuchu, że to potężne, dramatyczne malowidło, przewyższające Matejkowskim patosem i potężnym, choć bardziej jednolitym kolorytem — wszystkie dawniejsze rysunki, pojedyncze linie i kontury. Niech się raz nareszcie przekonają, że słaby to argument i umysłowa ciasnota — zatykać z ironicznym śmiechem uszy na kompozycye, które pragną scenę uczynić świątynią, muzykę prawdziwą tragedyą, widownię pozbawić charakteru niemieckiej knajpy, i słowem wskrzesić wielkie, sławne tragedye igrzysk Olimpijskich, na których popisywali się tacy jak Sophocles i Eschylos. U nas o Wagnerze wciąż jeszcze mówi się tak, jak mawiał Wolter o Shakespearze—że jest rzeźnikiem. O tego muzykalnego rzeźnika ludzie walczą z sobą na Zachodzie aż do szaleństwa — dowodem znakomity, najsympatyczniejszy może dziś pisarz niemiecki Nietsche. Gnuśność umysłowa ludzi rozpieszczonych melodyjnemi aryami i aryetami odwraca się od muzyki, która wymaga od słuchacza jakiej takiej pracy, ale za to raz owładnięta, działa na *człowieka całego*, a nie na same fibry nerwu słuchowego. Ale któżby u nas poszedł do teatru, ażeby — pracować?

Niech jednak który z tak zwanych klasyków ukaże się na afiszu, to choćby był w najprostszej linii poprzednikiem Wagnera — tłumy pójdą go słuchać. IX Symfonia nosi firmę Beethovena, ale dopatrywać się w niej prostoty i łatwości układu może tylko fanatyk muzycznego obskurantyzmu. Proszę nie zapominać o tem, że idea stragizowania opery i powiązania jej strzępów w jeden motyw przewodni kiełkowała już u Mozarta, że dręczyła później po kolei wszystkich i że od symfonij Beethovena już do niej bardzo niedaleko. Nasze nieprzytomne zachwyty nad „IX“ są przedewszystkiem obłudą, kłamstwem, blagą albo zwyczajnym nałogiem fachowców, obełgujących siebie samych i odruchowo powtarzających dawne hymny. Nie posiada ona jeszcze wyrazistości realistycznej nowych kreacyj, a nie posiada już prostoty innych symfonij Beethovena i robi wrażenie pół-stylu, pół-rodzaju.

Zabawne są owe chwalby dla jej niezrozumiałości! Jak gdyby zawiłość i przeładowanie efektami stanowiły warunek arcydzieła. Te formułki utworzyli sobie augurowie, którym wygodnie oddzielać się od tłumu profanów — piętnastoma szczeblami drabiny. Zabawne są owe komentarze w przeddzień koncertu, owe deklamacye i kupy frazesów; przypominają one feljetony objaśniające treść nowo sprowadzonego obrazu... Co do mnie, to wiem tyle jeno, żem słyszał „IX“ wykonaną przez lepsze siły w Monachium i Berlinie — i za każdym razem była ona dla mnie kompozycyą na wielką skalę, wspaniale zakrojoną, ale działającą słabo. Jedynie „Hymn do radości,“ dzięki wybitnie germańskiemu, szyllerowsko-goethowskiemu kolorytowi i szczerze tryumfalnemu patosowi wywoływał wstrząśnienie silniejsze.

Olbrzymie i prawie zuchwałe ramy tego dzieła bodaj najwięcej budzą podziwu, a że stanowi ono zenit Beethovenowskiego polotu, punkt kulminacyjny jego geniuszu, więc rzecz prosta, za grzech bym sobie i każdemu melomanowi uważał — opuszczenie sposobności słyszenia go bodaj po raz setny. Śmiało więc zachęcam do powtórzenia, byleby nie w Salach Redutowych, w których chóry pisane na tenory i soprany brzmią krzykliwie, ostro i prawie dysharmonijnie. Poszedłbym nawet dalej i pobudzał do wykonania równie charakterystycznej dla indywidualności Beethovena i również trudnej *Missa Solemnis*.

Tylko, przepraszając za bluźnierstwa powyższe, proszę cię jeszcze, czytelniku, o jedno: umówmy się i powiedzmy sobie z ręką na piersi, że tego rodzaju utwory przemawiają zwykle do naszych arystokratycznych, wyrafinowanych, a więc słabych instynktów, zaś zdrowe, silne, szczerze i głęboko wrażliwe instynkta treści i poezyi, słowem cały demokratyczny, naturalny rdzeń naszej istoty estetycznej — podczas nich... drzemie.

Powinszujmy jednak sobie, że w muzyce dochodzimy do okresu dojrzałości i że zwykłe bigosy koncertowe tracą monopol powodzenia... *Cezary Jelenta.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dramat emigracyjny. — Widomy rezultat naszych wpływów i starań o dobro ludu. — Ofiary ciemnoty i nieufności. — Agent pokonywający wszystkich opiekunów chłopa. — Wynik badań pracowni miejskiej nad wodami gazowemi. — Najskuteczniejsza odtrutka. — Tryumf naszych ogrodników na wystawie petersburskiej. — Wskazanie dla pracy. — Muzeum etnograficzne i bazar rzemieślniczy. — Jakubowski żebrzący o przytułek dla swych kości.

Ludem naszym owładnął straszliwy szał, którego zgubne skutki przekraczają o wiele granice przypuszczeń pierwotnych. Porwane zdradziecką siłą tłumy wieśniaków — zwłaszcza na kresach — opuszczają ziemię, chaty, zarobki, wyprzedają wszystko za bezcen i uciekają jawnie lub skrycie do skłamanego im przez niecnych agentów raju, do Brazylii. W innem miejscu niniejszego numeru znajdą czytelnicy mozaikowy obraz tego ruchu; tu zaznaczymy tylko krótkie do niego objaśnienie. Jest to poważny i w niektórych swych szczegółach bolesny dramat. Bo czy jego bohaterowie, niewinne ofiary biedy, ciemnoty, nikczemnych poduszczeń i dziecinnych marzeń o szczęściu, nie zasługują na głębokie współczucie i nie ulegają tragicznemu losowi? Życie im dokucza niedostatkiem i ciężką pracą, więc pragną wyjść ze swej niedoli. Nie posiadając zaś żadnej wiedzy o dalszym świecie, żadnej ufności do najbliższego otoczenia, zawierzają pierwszemu lepszemu kusicielowi właśnie dlatego, że go nie znają i że on ich olśniewa najfantastyczniejszemi opowieściami. „Mędrsi bracia,“ „naturalni przewodnicy,“ panowie zawiedli ich, zaniedbali, upośledzili; doradcy sumień — nauczyli spodziewać się poprawy losu tylko od nieba; prostaczkowie zatem w agentach towarzystw przewozowych widzą aniołów, którzy przyszli dokonać cudu i wyprowadzić ich do ziemi obiecanej, gdzie w każdą otwartą rękę spadają ruble, bryły złota i srebra. Można ich było nauczyć pojmowania przestrzeni świata i jego stosunków, ale niepodobna ich dziś doraźnie przekonać, że Brazylia nie leży tuż za granicą i że oni z niej nie będą przyjeżdżali na jarmark do swego miasteczka, że w niej nie słychać dzwonów rzymskich, że żadna królowa nie „ulitowała się nad ludem katolickim,“ że papież nie powołuje ich do tej wędrówki i t. d. Wobec zupełnej ciemnoty i niewiary najwymowniejsza argumentacya nie osiągnie celu i nie wytrzyma walki ze zręcznem oszustwem. Cokolwiek przytoczylibyśmy naszemu chłopu przeciw jego wyjazdowi za morze, na wszystko znajdzie odpowiedź w kłamstwach agentów lub własnej nieufności. On, który „panów“ zawsze podejrzywał i posądzał o interesowność, teraz ma wierzyć ich geografii, polityce, życzliwości, kiedy przypuszcza, że go odciągają od szczęścia z obawy stracenia siły roboczej? Tu i owdzie wysiłki inteligentnego ziemianina lub księdza osiągną cząstkowy skutek, ale ruchu masy nie powstrzymają. Masa ta bowiem, stanowiąc grunt nieuprawiony pod zasiew ziaren cywilizacyi, ugorujący od wieków, może rodzić tylko badyle, przyjmować chętnie całą tę mieszaninę bredni, którą pełnemi garściami sypią na nią zagraniczni łupieżcy. Jak chłop nasz wobec zdradzieckich pokuszeń stoi bezradny, tak my wobec jego samobójstwa emigracyjnego. Przerachowaliśmy się fatalnie i teraz widzimy nasze omyłki: głosiliśmy, że lud nasz postąpił w oświacie, a on nam ukazał przerażającą ciemnotę; posądziliśmy go o dobrobyt, a on odsłonił ubóstwo; mniemaliśmy, że posiada nieskończoną wytrzymałość w nędzy, a on zapragnął dostatku; wysławialiśmy dobroczynny wpływ dworu i plebanii, a przekonaliśmy się, że oddziaływanie to jest żadne lub bardzo słabe. Osiągnęliśmy smutne przeświadczenie, że my wraz z całą naszą literaturą ludową, oświatą, zabiegami i środkami nie jesteśmy w stanie przeciwważyć bezczelnych kłamstw zagranicznego agenta. Jakże lichą była nasza praca, kiedy nam dała takie owoce! Za winy ojców, którzy głównie zgrzeszyli obojętnością względem ludu, musimy dziś być biernymi świadkami strasznego dramatu, patrzeć, jak ten lud, który najwierniej i najdłużej dochował swej miłości dla ziemi rodzinnej, porzuca ją i ślepy na niebezpieczeństwo biegnie w przepaść.

A jednakże rąk opuszczać niepodobna. Obok środków, które przedsięwzięła lub przedsięweźmie administracya, a które powinny dosięgnąć zbrodniczych agentów najsurowszemi karami, należy rozświecać ciemne głowy biedaków świadomością oczekujących ich zguby. W tym względzie może nieocenioną usługę społeczeństwu przynieść redakcya *Kuryera warszawskiego*, która podjęła zadanie szlachetne i wiele obiecujące. Mianowicie wysłała ona korespondenta do Brazylii, który odbędzie całą podróż łącznie z naszymi wychodźcami, pozna

ich koleje, zbada warunki życia na miejscu i prześle dokładne sprawozdanie. Opis taki, zwłaszcza z podaniem nazwisk emigrantów, niewątpliwie otrzeźwi tych, którzy w ich ślady wstąpić zamierzają. Jeszcze zaś skuteczniej podziałałyby na nich listy rozczarowanych wychodźców, z Brazylii do pozostałych krewnych pisane. Jeden taki list powstrzyma całą wieś, całą okolicę, zatamuje wylew pewniej, niż wszystkie perory panów, księży i pisarzów gminnych. Na ten środek zwracamy szczególną uwagę korespondenta. Gdziekolwiek bowiem spadła wiadomość o doznanych zawodach w mniemanym raju zamorskim, wszędzie jak piorun druzgotała rusztowania agentów. Jeżeli najżywszem uczuciem w duszy chłopa jest nieufność, trzeba ją w nim obudzić i względem tych, którzy go w zdradzieckie sieci łowią.

A może biedacy rzeczywiście znajdują za oceanem szczęście? — ktoś nam zauważył. I na to pytanie odpowie niezadługo *Kuryer warszawski*, któremu winszujemy zaszczytnego pomysłu. Zdobył on się na krok w wielkim stylu prasy europejskiej, którą — według sił — w taki sposób powinna naśladować nasza. Wysłanie korespondenta do Brazylii, zbadanie tego ujścia naszej emigracyi, oświecenie jej przebiegu i rozmiarów, powstrzymanie u źródła wiarógodnemi doniesieniami — to dla czytelników pisma i ogółu więcej warto, niż jakieś premium, sztuczka wydawnicza lub rozdęcie skandalu.

Pracownia miejska przedstawiła nam nowy i równie pouczający, jak smutny wynik swojej kontroli artykułów spożywczych. Tym razem zbadano wody gazowe, a więc produkt, używany w ogromnej ilości przez całą ludność Warszawy. Wyszedł z naczyń rozbiorowych rezultat, który sprawił niespodziankę nawet pesymistom. Okazało się bowiem, że w Warszawie istnieją tylko cztery fabryki wód gazowych, niezawierających ołowiu lub drobne jego cząstki (Karpiński, Kaun, Hirszfeld, Smoczyński), natomiast wyroby czterech posiadają tego metalu w litrze około 0,002 grama, dwunastu — do 0,005, dziewiętnastu — do 0,010, piętnastu — do 0,020, trzynastu — do 0,0300. Nadto w litrze wody dziesięciu fabryk znaleziono od 40,0 do 67,5 miligramów węglanu ołowiu. Odkryto również w niektórych miedź, a w t. z. wodach owocowych i syropach: koszenilę, karmel, anilinę (fuksynę). „Powyżej wzmiankowane wyniki — powiada sprawozdanie *Gazety policyjnej* — są zupełnie zgodne z rezultatami rewizyj samych fabryk wody sodowej, z których wiele, zwłaszcza utrzymywanych przez żydów, znaleziono w nader złym stanie i zupełnie nieodpowiadających przeznaczeniu. Przyczyną tego nie tyle są nadużycia właścicieli fabryk, ile ich niedbalstwo, oraz nieumiejętność i zupełny brak wiadomości tak o prawidłowej fabrykacyi wód gazowych, jak o środkach niezbędnych do racyonalnego prowadzenia jej.“ Ta okoliczność łagodząca zmniejsza winę, ale nie łagodzi trucizn. Spożywców obchodzi wyłącznie wartość towaru, i dla tego radzę czytelnikom zaopatrzyć się w nr. 209 *Gazety policyjnej* i według niego przy nabywaniu wód gazowych unikać fabryk, które sprzedają produkt dla zdrowia szkodliwy. Należy to czynić zarówno dla bezpieczeństwa osobistego, jako też dla odjęcia fuszerom i trucicielom zbytu. Będzie to najskuteczniejsza odtrutka przeciw ich anilinie, miedzi i ołowiu.

Zwycięztwo ogrodników polskich na wystawie petersburskiej pozwoliłoby nam całkiem zapomnieć o bólu, spowodowanym tegoroczną porażką naszych folblutów na torach wyścigowych Cesarstwa, gdybyśmy więcej chwały i dumy narodowej widzieli w ludzkich głowach, niż końskich nogach. Znawca naszych upodobań wie, ile radości lub smutku sprawiają nam telegramy z pola Chodyńskiego, ile nadziei przywiązujemy do Rulerów i Highlandów, podczas gdy wiadomość o gradzie medalów złotych, który spadł na pp. Ulricha, Jankowskiego, Kaczyńskiego i innych, przyjęliśmy z zadowoleniem, ale bez zbytniego zapału. Jeżeli zaś tryumfatorowie naszego ogrodownictwa ujrzą swe oblicza na kartach pism ilustrowanych, to niechże pamiętają, że o lat kilka przed nimi był tam wyrysowany w całej swej dostojnej i chudej postaci słynny Przedświt. Trzeba jednakże uznać postęp, jakimkolwiek on jest. Przypomnijcie sobie starsi czytelnicy, czy przed laty trzydziestu, czterdziestu pomieściłaby się w głowie obywatela ziemskiego, a nawet urzędnika myśl, że jego syn zostanie ogrodnikiem, zwłaszcza ten, który ukończył uniwersytet? Nigdy. Szlachcic i wtedy pragnął mieć ogród prowadzony wzorowo, posiadający rzadkie okazy kwiatów i owoców, urzędnik również marzył o kawałku ziemi w mieście dla przyjemności i rozrywki, lecz żadnemu z nich nawet nie śniło się o poświęceniu dziecka takiemu ordynarnemu zawodowi. A dziś! O ile mi wiadomo, dopiero trzech wychowańców uniwersytetu warszawskiego weszło na tę drogę, a z nich tylko p. Jankowski z wielkiem powodzeniem. Niewątpliwie jednak dobry przykład pociągnie wielu innych, gdyż coraz słabiej pachną nam posadki kilkusetrublowe i coraz lepiej rozumiemy, że powinniśmy zwracać się ku pracy produkcyjnej, niezależnej. Świetny tryumf naszych uczestników na wystawie petersburskiej będzie ważną pobudką w tym kierunku, tembardziej pożądaną, że ogrodnictwo jest u nas jeszcze w znacznej części polem ugorującem i że ono posunąwszy się w rozwoju, podniesie dobrobyt krajowy. Ma swoje bardzo żywotne Towarzystwo, ma swój organ, ma znakomite wzory i rezultaty, ma warunki pomyślne, potrzeby i szeroki rynek dalszego zbytu — ma więc przyszłość, która zachęca do pracy i obiecuje nagrodę. Ale wymaga gruntownej wiedzy, rzetelnych trudów, rozbratu z wielkopańską pychą, umiłowania i uszanowania zawodu, tego wszystkiego wreszcie, co wysiłkom ludzkim pozwala osiągać najwyższe cele kultury.

Czy Towarzystwo aklimatyzacyjne narodzi się jako pogrobowiec Zwierzyńca, ani ojcowie nieboszczyka, ani przyjaciele powiedzieć dotąd nie umieją. Stoimy ciągle wobec ruiny, której gruzów nikt do nowej budowy zużytkować nie chce. Współczucie dla konających lwów i tygrysów zatarło zupełnie w pamięci ogółu śmierć innej instytucyi, która jako zarodek w łonie Zwierzyńca wraz z nim umarła. Mówimy o Muzeum etnograficznem, które miało być kiedyś zbiorem okazów, objaśniających życie innych ludów i naszego. Projektowane Towarzystwo aklimatyzacyjne utrzymałoby ten dział, jako jeden z najważniejszych; ale ono dotąd jest tylko mgławicą dobrych chęci. Tymczasem takie muzeum, jako środek kształcenia społecznego, posiada wielką doniosłość. Jeżeli młody francuz, anglik lub niemiec chce się zapoznać ze światem zwierząt, z historyą marynarki, budową mostów, postaciami broni, tkanin, ubiorów itd. — ma najrozmaitsze instytucye publiczne, które jego pragnieniom zadość uczynią. A gdzie nasze dziecko zobaczy — już nie powiem — model pancernika lub strzały algonkinów, ale zwykłe sukmany i spódnice kurpiów lub kujawiaków? Na obrazkach — jeżeli do drogiego atlasu lub książki dostęp znajdzie. Wiele osób, doszedłszy drogą przypadku lub starań do zbioru ciekawych tego rodzaju okazów, pragnęłoby go ofiarować na użytek publiczny — i komu je odda? Oto np. p. Janikowski przywiózł z Afryki dość obfity zasób przedmiotów — i co z nimi robi? Urządza z nich płatną wystawę, a potem sprzeda jakiemu magnatowi dla użytku jego znajomych, lub też złoży w piwnicach. Ile takich prywatnych zbiorów już u nas zmarniało! Z pewnością możnaby z nich utworzyć bogate muzeum etnograficzne.

Na nieszczęście my nie pojmujemy jeszcze społecznego znaczenia takich instytucyj, a nasi milionerzy są albo zbyt samolubni, albo po za dobroczynnością i kościołem nie znajdują godnych celów dla swej ofiarności. Na dowód czytajmy w *Kuryerze warszawskim*: „Wiadomość o zamiarach kapitalistów francuskich założenia w Warszawie bazaru wyrobów francuskich *zbudziła z uśpienia* komisyę, której powierzono sprawę założenia bazaru rzemieśniczego...“ Dzięki zaś temu snowi, „jeden z tapicerów tutejszych, urządzając dla pewnego magnata salon w stylu wschodnim, zmuszony był pojechać do Berlina, gdzie w „Gewerbe-Museum“ znalazł motywy do rysunków.“

Gdyby zmarły ks. Adam Jakubowski żył jeszcze, możeby w swoim zapisie ujął nieco nagrodom konkursowym za prace naukowe i wsparł muzeum etnograficzne lub bazar rzemieślniczy. Ale niestety, on nietylko umarł, ale po śmierci jest tak biedny, że nie ma własnego grobu i zarząd cmentarza Powązkowskiego wymówił mu nieopłacone komorne w katakumbach, grożąc wyrzuceniem do wspólnego dołu. Podobno — jak zapewniają pisma — dwie litościwe osoby objawiły gotowość dania mu przytułku w swych grobach rodzinnych, ale nie wiadomo, czy znowu kiedyś nie będzie musiał się wynieść. W każdym razie jest to ładny i wymowny obrazek naszej trwałej pamięci o ludziach, którzy żyli miłością dla swego społeczeństwa, a umierając, oddali mu wszystko. Z dziesiątków tysięcy rubli, pozostawionych przez nieboszczyka ziomkom, nie strącili oni kilkudziesięciu na kupienie mu własnego grobu, ażeby się nie poniewierał i nie potrzebował dla swych kości żebrać o przytułek. Wstyd, paskudny wstyd, który co prędzej zetrzeć należy.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Dwa przesilenia. — Ministeryum rolnictwa. — Zjazdy rolnicze. — Janżuł o handlu ruskim. — Nowa era w ubezpieczeniach przeciwogniowych.

W łonie gospodarczego organizmu Rosyi powstały aż dwa przesilenia, bardzo różne w skutkach dla ludności. Jednem z nich jest zastój w przemyśle naftowym, drugim — przełom w produkcyi lnu. Zatrzymajmy uwagę wprzód na pierwszem. W czasie największego wywozu nafty na rynki zewnętrzne utyskiwania przedsiębiorców na zastój właśnie wyrażało się najwyższą nutą. Dane urzędowe stwierdziły, że od 1 stycznia do 1 lipca 1890 roku wywieziono z Batumu wytworów naftowych 24,100,327 pudów, podczas gdy w tymże czasie zeszłego roku zbyt wynosił 19,476,676 pudów. Naftowcy nie przecząc temu faktowi, dowodzą, że przesilenie w ich przemyśle istnieje. Cyfry wskazują tylko pozorną pomyślność lecz po za sobą ukrywają — ruinę!.. Czem się to dzieje? Jak tę sprzeczność pogodzić? Tłomaczą oni ją naturalnie kursem rubla — ten biedak dziś wszystkie grzechy na siebie przyjmuje, nawet niedołęztwo wytwórców i chciwość kupców. Otóż wzrastającemu wywozowi nie można wierzyć — powiadają ofiary rynku światowego: ruch ten jest to tylko refleks wywołany w okresie wysokich zysków — kadłub tylko się miota, choć głowę dawno już zdjęło współzawodnictwo amerykańskie i psoty zwyżkowców giełdowych, spekulujących na kursie rubla. Przemysłowcy naftowi pozawierali kilkoletnie umowy na dostawę wtedy, gdy olej skalny (naftę rodzimą) płacono po 4 — 5 kop. za pud. Dziś cena tego produktu spadła wraz z popytem na niego, wzrosła zaś równocześnie z tym ostatnim na naftę źródlaną, cenioną po 7 kop. za pud. Ci zatem, którzy eksploatują tylko ropę naftową, będąc związani umową, muszą kupować droższy wytwór od szczęśliwych jego posiadaczów, że-

by w ten sposób dotrzymać przyjętych na się obowiązków. Naturalnie, iż zamiast zysków — ponoszą straty. Jednym z zewnętrznych objawów zastoju jest ta okoliczność, iż przeszło 1,000 wagonów-cystern, skutkiem braku ładunków, stoi na stacyach kolei żelaznych bezczynnie. Są to pierwsze następstwa wygasania umów, które dotąd powodowały przymusowy przewóz nafty. Za tem ma wkrótce według zapewnień przedsiębiorców pójść całkowite ustanie ruchu wywozowego. Najbliższe ogniwo łańcucha wymienno-wytwórczego dotkniętej przez zastój gałęzi produkcyi, właściciele wagonów-cystern — zaczyna więc już doznawać skutków zakłócenia. Nie wiedzą oni, co mają robić ze swoim bezczynnym taborem przewozowym i są w kłopocie, bo za postój na stacyach muszą płacić karę, 1½ kop. na dobę. O ile w okresie ożywienia toczyli zażartą walkę między sobą o posiadanie wagonów, ściągali je nawet do siebie za pomocą premiów, o tyle dziś za pośrednictwem tychże samych premiów radziby je komukolwiek narzucić do użytkowania. Żałosne skargi przemysłowców naftowych biją ku sferom rządzącym, błagalnie wyciągają się ręce, usta wymawiają słowa prośby. Nigdy przysłowie: „kiedy trwoga, to do Boga“ nie mogło znaleźć świetniejszego zastosowania. W innym czasie ci sami panowie wyznawaliby gorliwie zasadę wolnego handlu, ale dziś interwencya władzy nabiera szczególnego znaczenia. Rząd jednak, widząc wzrost wywozu, cen na odpadki naftowe i niewielkie koszty produkcyi, nieufnie przygląda się tym umizgom. „Te skargi, — powiadają *Rus. Wiedomosti* — koniecznie należy w danym razie przyjmować ostrożnie i wprzód zanim będą użyte środki zaradcze, wypada zbadać, o ile trudności przemysłu naftowego zależą od przyczyn, spoczywających po za sferą oddziaływania państwowego, tj. w tej dziedzinie wolnej walki interesów, na którą tak chętnie powołują się przemysłowcy, ilekroć idzie nawet o zupełnie legalną i bezwarunkowo niezbędną postać interwencyi państwowej.“ Bliższe zbadanie stanu rzeczy może nam wyjaśni wiele zakulisowych czynników zjawiska: może nawet dowiemy się, o ile były celowemi rozpuszczane w swoim czasie przez naftowników wieści o wyczerpaniu się kopalni kaukazkich i czy przypadkiem nie był to jeden z prywatnych środków sztucznego wyśrubowania cen?

Przesilenie naftowe ma tę dobrą stronę, że sprzyja poniekąd interesom spożywców, ale lniane jest groźną klęską dla drobnej produkcyi rolnej. Wybuchło ono jeszcze w r. 1885, trwa więc aż 5 lat już. Najwięcej od tej plagi gospodarczej ucierpiały gubernie: mohylewska, witebska, smoleńska i pskowska. W pierwszych dwóch najwięcej dotknięci zostali starowiercy. Ceny lnu spadły, a zatem ludzie, zostający w stosunku dzierżawczym do właścicieli ziemskich, utracili możność uiszczania się z czynszu i są z gruntów zajmowanych wypędzani. Tę stronę kwestyi skwapliwie wyzyskuje w swoim organie słynny Okrejc (*Łucz*). Główniemi przyczynami zastoju lnianego naturalnie w pierwszym rzędzie jest kurs rubla, współzawodnictwo dżuty, oraz upadek przędzalnictwa i tkactwa lnianego — a najbardziej niesumienność i zła organizacya handlu wywozowego obok nieuctwa przekupniów i miejscowych „kułaków.“ Tak przynajmniej według dyagnozy „ujawniciela“ (obliczytel) Okrejca.

Sprawa ministeryum rolnictwa nie schodzi ze szpalt prasy ruskiej. Teraz myśl o tej instytucyi rozwijana wprzód przez stołeczną — przeszła do prowincyonalnej i tam w dalszym ciągu jest rozwałkowywaną. Niewątpliwie wyrasta ona z gruntu stosunków ekonomicznych kraju, dostatecznie już dojrzałych na przyjęcie jej w postaci konkretnej; dotychczas jednak, jak widać z niektórych pism ruskich, najgłówniejszą inicyatorką tej ważnej i pożądanej magistratury — jest opinia publiczna.

Prawdopodobnie, gdy przyjdzie do skutku, energiczniej ono poprze interesy rolnictwa. Ale i dziś już, za sprawą departamentu ministeryum dóbr państwa, wytwórcy zboża otrzymali podarunek — w postaci zjazdów rolniczych powiatowych. Przy sposobności pomówimy o nich obszerniej, na teraz wystarczy wzmianka pobieżna. Zjazdy te, zbierając się dwa razy do roku, wydzielać będą z siebie biuro czynne, które, pomieszczone w mieście gubernialnem w celu ujednostajnienia czynności zjazdów, pośredniczyć będzie zarazem między wyższemi władzami administracyjnemi. Z tą instytucyą, mającą funkcyonować od przyszłego roku, rolnicy ruscy otrzymają możliwość rozwijania samopomocy w dziedzinie spraw swojego zawodu.

Janżuł w *Ruskich Wiedomostiach* rzuca kilka promieni światła na zakulisową stronę handlu ruskiego. Uderzyła go jedna okoliczność, której przyczynę usiłuje sobie wyjaśnić, mianowicie to, iż między wahaniami kursu rubla — zwyżkowemi i zniżkowemi, a cenami towarów wwozowych zachodzi niewłaściwy stosunek. Gdy w r. 1887 skutkiem krucyaty giełdowej Bismarka kurs rubla spadł o 15%, w takim samym stosunku i *natychmiast* ceny na towary kolonialne, szczególnie w handlu detalicznym zdołały podskoczyć. Naodwrót, obecna zwyżka rubla wraz z upadkiem cła wwozowego (przed zastosowaniem znanej noweli taryfowej o 20%), zwyżka sięgająca 30%, a zatem podwójna, okazuje się bezsilną, żeby wywrzeć odpowiedni wpływ w kierunku zmniejszenia cen większości towarów. To upoważniło ekonomistę do postawienia następującej formuły: „Rubel spada, cła wznoszą się — ceny wytworów idą w górę; rubel urasta, cła spadają — ceny zostają te same, tj., zawsze zyskuje kupiec, a traci — spożywca.“ Szukając tak dziwnie nielogicznego zjawiska przyczyny, przychodzi p. Janżuł do wniosku, że leży ona w naturze wewnętrznego handlu krajowego. Jest on, zdaniem jego, źle działającą, przestarzałą machiną, która natrafia na niemogących stawić żadnego oporu spożywców. Ci ostatni, dzięki swej niespójności i rozproszeniu, nie mogą poskramiać chciwości przekupniów. Nadmiar drobnych sklepów po miastach (np. w Moskwie, Petersburgu) i brak przeciwwagi w stowarzyszeniach spożywczych oraz wielkich ześrodkowanych sklepów detalicznych — oto są warunki powodzenia kupców kosztem konsumentów. Inny rady na to nie widzi ekonomista, tylko w rozpowszechnieniu w swojem społeczeństwie spoideł spółdzielczości i centralizacyi handlowej na wzór paryskiego *Magasin au Bon Marché*.

Kapitaliści ruscy obchodzą święto wyzwolin kraju w zakresie ubezpieczenia przeciwogniowego od zagranicy. W Petersburgu powstają jednocześnie aż dwa towarzystwa, mające na celu reasekuracyę. Ogarniać one mają całe państwo, a dążą najprzód do wydarcia zagranicy zyskownej czynności reasekuracyjnej, niepodzielnie dotychczas wzbogacającej ją, a następnie, zdaje się głównie — do przysporzenia rodzimemu kapitałowi możności wzrastania w tej dziedzinie życia ekonomicznego, gdzie on dotąd nie mógł wzrastać... To moje twierdzenie nie jest osamotnionem, mam pod tym względem sprzymierzeńca w gazecie *Dień*. Oto, co on mówi: „Myśl reasekuracyi sama przez się bardzo sympatyczna, a urzeczywistnienie jej bardzo pożądane, ale ustawy świeżo zatwierdzonych dwóch towarzystw niestety zapowiadają mało troskliwości o korzyści i potrzebach społecznych. Pragnąc przedewszystkiem współzawodniczyć z reasekuracyą zagraniczną, nowe towarzystwa nie zaprzątają się wynalezieniem sposobów uprzystępnienia jej lub zapewnieniem większych korzyści i rękojmi ubezpieczającym się, lecz wprost pokładają nadzieję na prawodawczym zakazie reasekurowania się za granicą.“ Właściwie więc miejsce zależności zewnętrznej zajmie monopol krajowy, który potrafi okiełznać chyba tylko rozwój stowarzyszeń asekuracyjnych, opartych na zasadzie wzajemności.

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

Jakkolwiek we wzmiance naszej o stosowaniu niewypróbowanej metody Brown-Séquarda przez d-ra Kadlera pozostawiliśmy naukowy sąd o niej specyalistom i oparliśmy się na zdaniu *Kroniki lekarskiej*, która to postępowanie nazwała „wyzyskiem,“ pomieszczamy jednak odpowiedź oskarżonego, gdyż żali on się, że mu trzy pisma przyjąć jej nie chciały. Naturalnie odpowiedzi tej nie poręczamy solidarnie z autorem.

Kiedy Harvey odkrył krążenie krwi, potwarcy wykluczyli go z Towarzystwa Lekarskiego i napiętnowali mianem oszusta; podobny los spotkał i największego dobroczyńcę ludzkości, wynalazcę środków znieczulających i ból kojących. Nie dziw więc, że i metoda Brown Séquarda, najgenialniejszego (? *Red.*) dziś fizyologa, szczuta jest u nas przez rozmaitego pokroju rycerzy. Dziwić tylko może, jak *Prawda*, nie wiedząc „ile w przypuszczeniu tem,“ że metoda Brown-Séquarda „pokrzepia siły i do pewnego stopnia odmładza, jest rzetelnej prawdy,“ nieświadomość swoją uogólnia i głosi, że tego „nikt powiedzieć nie może, gdyż ono nie przeszło przez ścisłą krytykę i doświadczenie.“

Że metoda Brown Séquarda przeszła już zwycięzko (? *Red.*) próbny ogień naukowej kontroli i że po stronie jej stanęła już znaczna liczba powag naukowych, profesorów uniwersytetu i pism lekarskich, dowodem tego są prace profesorów: Maireta, Rogers'a, Villneuv'a, Charcota, Kostiurina i wielu innych. Liczbę prac znanych mi, a dosięgających kilku dziesiątek, powiększyły, jak o tem świeżo donosi mi listownie Brown Séquard spostrzeżenia włoskich lekarzy Eriberto, Luigi i Enrico, zamieszczone w „Progresso Medico.“

Lecz nietylko klinicystów i lekarzy praktyków metoda wspomniana pobudziła do licznych badań, ale była ona przedmiotem poważnych dyskusyi różnych Towarzystw lekarskich. I tak, d. 27 marca r. b. lejbmedyk Roszczynin, na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego petersburskiego, zdał sprawę z otrzymanych przez siebie pomyślnych wyników zastrzykiwań — na ostatnim zaś kongresie lekarskim w Berlinie, dr. Wiktorow z Moskwy zakomunikował pomyślne rezultaty swych spostrzeżeń. Jak widzimy więc, kwestya zastrzykiwań Brown-Séquarda nie jest tak nową i przeszła już „przez ścisłą krytykę i doświadczenie.“

Co się tyczy samej metody, to ta nie jest bynajmniej dzieckiem ślepego trafu, ale opiera się na ścisłem badaniu, na podstawie naukowych wniosków i doświadczeniu. Wpływ gruczołów testykularnych na centralny system nerwowy stał się punktem wyjścia do poszukiwań na tej drodze. Doświadczenia na zwierzętach, następnie z największą sumiennością niezliczone badania dla skontrolowania tychże w pracowni fizyologicznej dokonane, a w końcu gdy i te daty (?) jak najlepsze rezultaty doświadczenia na ludziach, zdumiewając w wielu razach swymi wynikami i przez wielu lekarzy potwierdzone, oto naukowy rynsztunek, z jakim Brown-Séquard wystąpił przed światem lekarskim, zachęcając lekarzy do dalszych badań i poszukiwań. Wyniki swych doświadczeń zakomunikował on na posiedzeniu Towarzystwa biologicznego w Paryżu d. 1 lipca roku zeszłego. Ponieważ sama kwestya jątrzyła ciekawość i wyszła od uczonego tej miary, co Brown-Séquard, nie dziw więc, że niezliczona ilość lekarzy obu półkuli świata wzięła się do badań w tym kierunku. Że skutkiem badań tych zebrała się znaczna liczba spostrzeżeń, zbytecznem byłoby dowodzić.

Na zasadzie więc jakich danych *Kronika lekarska* mogła przyjść do wniosku, „że zamało dotąd mamy spostrzeżeń, abyśmy metodę Brown Séquarda mogli stosować w praktyce“ i co ją wreszcie mogło upoważnić do sformułowania inkryminacyi, obrażającej nie już jednostkę, ale całą (?) korporacyę lekarską, to jest zgoła niezrozumiałem, a przynajmniej przyczyn nie chcę tutaj roztrząsać. Bo, że *Kronika lekarska* ma „za mało spostrzeżeń,“ albo raczej wcale ich nie ma, to jeszcze nie dowód, ażeby nauka ich nie posiadała. Władze też lekarskie na całym świecie pozwalają stosować u chorych metodę Brown-Séquarda. Tak więc kłamstwem jest, jakoby „lekarze“ uznawali metodę tę „za niewłaściwą.“ Czy to *Kronika lekarska* obejmuje całość wyrazu „lekarze“? Są to tylko pewni lekarze. Lekarze wielkiego świata nauki, prawdziwi *medici*, widzą tę metodę stosowaną w wielkich ogniskach ludności i..., nie srożą się, nie wołają na wykonawcze władze lekarskie, aby lekarzowi zabroniły praktyki, nazywając ją „wyzyskiem.“

Dr. Kadler.

W związku z tą odpowiedzią, ze „zdziwieniem“ d-ra Kadlera nad naszą pochopnością w zawierzeniu *Kronice lek.* i ze „zwycięzkiem przebyciem próbnego ognia“ me-

tody, pozwolimy sobie przytoczyć przebieg procesu, jaki niedawno rozstrzygnięty został w Petersburgu. Znany chemik i aptekarz tamtejszy dr. Pohl, oskarżył swego współpracownika, Frenkla z Warszawy o skradzenie z jego laboratorium 1,7 grama „sperminy,“ ulepszonego środka odmładzającego Brown-Séquarda. Powód zyskał dla swego preparatu wielką sławę i sprzedawał gram po 88 rs! Ogłosił on cały szereg cudownych wyleczeń, ale sprawozdanie jego na kongresie lekarskim w Berlinie przyjęto z wielką niewiarą.

Po powrocie do Petersburga dowiedział on się, że Frenkel, który zarządzał jego pracownią, opuścił ją, przekonawszy się, że „sperminy“ nie otrzyma, a w wyrabianiu drogo sprzedawanego środka d-ra Pohla współdziałać nie może. Ponieważ zaś zabrał cząstkę tego produktu dla przedstawienia go osobom kompetentnym, więc dr. Pohl oskarżył go o kradzież. Strony stanęły przed sądem, jako *corpus delicti* — maleńka flaszeczka, jako świadkowie — profesorowie medycyny, chemii i fizyologii. Prof. Trapp oświadczył, że w nauce istnieje dokładne określenie „sperminy,“ któremu wszakże zawartość flaszeczki nie odpowiada: jest to bowiem tylko błoto bez żadnej wartości. Potwierdzili to: prof. Konowałow, Anrepp i inni. Ponieważ ostatni złożył najpochlebniejsze świadectwo o Frenklu, z którym przekonał się, że sprzedawany przez d-ra Pohla produkt nie jest żadną „sperminą,“ przeto sąd uwolnił oskarżonego od wszelkiej odpowiedzialności. *Red.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Rada zarządzająca kolei Wiedeńskiej otworzyła kredyt do rs. 171 miesięcznie, przeznaczony na opłacanie wpisu za córki urzędników kolejowych, kształcących się na pensyi w Sosnowicach. Taki sam kredyt dawniej przyznano dla synów urzędników, uczących się w tem mieście.

— Rząd wyznacza następujące zapomogi: dla Towarzystwa szerzenia nauk technicznych w Moskwie 3,000 rs.; dla ruskiego Tow. technicznego, na szkoły rysunkowe i warsztat ślusarski 12,000; dla Akademi nauk na wydawnictwo dzieł naukowych 5,000 rs.

— Kasy oszczędności w Rosyi znacznie się rozwijają. Z końcem lipca r. b. wszystkie te instytucye w Cesarstwie miały 718,963 uczestników, posiadających kapitału 137,663.256 rs. Kasy pocztowe wykazały w końcu lipca uczestników 11,369 z kapitałem 611,902 rs.

— Rada m. Lwowa uchwaliła podatek spadkowy na rzecz biednych i zakładów dobroczynnnych w stosunku 5%.

— Kandydaci notaryalni w Galicyi wnieśli podanie do ministeryum o pomnożenie posad notaryuszów w miastach, gdzie istnieją sądy kolegialne.

— W Pełplinie powstało Towarzystwo ludowe.

Szkoły. Wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego liczy obecnie 576 studentów, prawny 360, fizyczno-matematyczny 137, historyczno-filologiczny 50.

— W r. b. w Nowej-Aleksandryi (Puławach) wykłady odbywają się tylko na dwóch kursach ostatnich Instytutu rolniczo-leśnego, gdyż po upływie dwóch lat zakład będzie zamieniony na Akademię agronomiczno-leśną o 4 ch kursach. Ogólna liczba słuchaczów obecnie 130.

— W okolicach Poniewieża w majątku Murowany Poniemuń właścicielka otworzyła szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt. Oprócz przedmiotów teoretyczno-elementarnych program obejmuje: roboty ręczne, mleczarstwo, kucharstwo, pranie krawiectwo.

— Dla Instytutu Muzycznego w Warszawie przeznaczono na rok przyszły zapomogę w sumie 7,600 rs.; dla Konserwatoryum petersburskiego 15,000, moskiewskiego 20,000; dla szkół muzycznych w Kijowie, Charkowie i Tyflisie po 5,000 rs.

— Jedna z uczenic paryskiej szkoły handlowej wniosła podanie o pozwolenie otwarcia takiego zakładu dla kobiet w Warszawie.

Komunikacye. Budowa nowego kanału tudzież regulacya koryta Dźwiny Zachodniej i Dniepru kosztować będzie 10,000,000 rs.

— W sprawie bezpłatnych przesyłek rządowych dano odmowną odpowiedź. Tylko instytucye dobroczynne mogą korzystać z tego przywileju.

— Roboty około przekopania kanału pomiędzy Kielem a Kugshaven, mającego połączyć morze Baltyckie z Niemieckiem prowadzone są bardzo szybko. Przystępują już obecnie do budowy szluz. Kanał ukończony będzie zupełnie za lat 4. Budowę rozpoczęto r. 1886.

Wystawy. W Kownie odbyła się z powodzeniem wystawa koni.

— W Kamieńcu Podolskim odbędzie się w r. p. wystawa rolniczo-przemysłowa.

— W Paryżu centralne Towarzystwo ogrodnicze otworzyło wystawę. Wartość produkcyi ogrodniczej we Francyi wynosi rocznie 902,000,000 fr.

Zjazdy. W końcu zeszłego miesiąca w Jenie odbył się zjazd nauczycieli matematyki i nauk przyrodniczych w szkołach niemieckich.

— Na rok przyszły zapowiedziano w Wiedniu międzynarodowy kongres geograficzny.

Sprawy literackie. W Kijowie powstaje specyalny tygodnik: *Profesionalnaja szkoła.*

— W Londynie zaczął wychodzić dwutygodnik *The University Correspondent*, organ uniwersytetu miejscowego. W program nowego pisma wchodzą sprawy wychowania i oświaty.

— Po śmierci Gregorowicza redakcyę *Przyjaciela dzieci* objęli przeważnie pedagogowie. Główny kierunek powierzono p. Gębarskiemu.

— *L'Argent*, najnowsza powieść E. Zoli zacznie wychodzić od 1 listopada w jednym z dzienników paryskich.

Bibliografia. M. Konopnicka, *Moi znajomi*, zbiór nowel, str. 318, Warszawa Gebethner i Wolff.

— K. Richet, *Zarys psychologii ogólnej*, tłom. Anna Leska, str. 200, Kraków Gebethner.

— B. Grabowski, *Boruta*, dramat z podań ludowych, str. 187, Gebethner.

— *Prace matematyczne*, wydawane przez J. Dicksteina, W. Gosieńskiego, E. i W. Natansonów, tom II, zesz. 2, Warszawa.

— F. Walczakiewicz, *W 450-lecie wynalezienia drukarstwa*, str. 44, Warszawa.

— J. Unger, *Kalendarz* ilustrowany na r. 1891.

— *Bąk*, kalendarz humorystyczny, ilustrowany.

Zmarli. Aleksandra Marczewska w Przedborzu; autorka ludowa.

— Paweł Sayer, w Monachium; rzeźbiarz.

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w artykule „O konkurs,“ zamiast r. 1889, powinno być 1890.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 12 Октября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**